

Zabawa sejmikowej opozycji



Jak bawią się opozycyjni radni sejmiku śląskiego i czym to w praktyce grozi oraz jak niszczące są tego typu zabawy, a także o tym, co zostawia po sobie rządząca województwem koalicja PO – PSL, oraz co sądzi o tym RAŚ czytamy w comiesięcznym felietonie przewodniczącego Jerzego Gorzelika

> strona 3

RAŚ dla każdego



RAŚ jest organizacją dla każdego, komu zależy na rozwoju naszego regionu. Jeśli dostrzeżasz korzyść z wprowadzenia autonomii i nie chcesz siedzieć z założonymi rękami, przyłącz się do nas. Wykaz terenowych kół RAŚ

> strona 5

Kryzys samorządności



O tym, jak katastrofalna jest kondycja polskiej, a także śląskiej samorządności oraz ile jest w tym winy centrali, jak również samych urzędników przeczytamy w wywiadzie z radnym Ruchu Autonomii Śląska Januszem Witą

> strona 4

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

SCHLESISCHE SCHWALBE SLEZSKÁ VLAŠTOVKA SILESIAN SWALLOW

JASKÓŁKA ŚLĄSKA

MIESIĘCZNIK GÓRNOŚLĄSKICH REGIONALISTÓW

6/2013

ISSN 1232-8383

NAKŁAD 14.000 EGZ.

Temat wydania

Śląsk jak Bawaria



Monika Kassner
redaktor naczelna



Mariusz Wons

29 czerwca na Górnym Śląsku i Zagłębiu zawitają działacze PO i PiS - dwóch czołowych partii ogólnopolskich, które ostatnimi

czasami tak bardzo dały się we znaki Górnoszlązakom,

a które po szeregu kompromitujących posunięć i wypowiedzi ich działaczy, będą próbowały odzyskać zaufanie mieszkańców regionu.

Nie przypadkiem na miejsca kongresów wybrano jedno z centralnych miast aglomeracji górnośląskiej i główny ośrodek Zagłębia – Chorzów i Sosnowiec.

Czyżby działacze PO i PiS wierzyli, że mieszkańcy regionu mają tak krótką pamięć i zapomnieli już o karygodnie rozwiązywanych sprawach Kolei Śląskich, Stadionu Śląskiego, Muzeum Śląskiego, nie mówiąc już o usilnie zamiatanych pod dywan kwestiach tożsamościowych jak przemilczanie w raporcie unijnym ze Spisu 2011 r. największej mniejszości śląskiej czy blokowanie przyznania godce statusu języka regionalnego. Nie będziemy już wspominać żenujących wypowiedzi polityków obu formacji dotyczących Ślązaków. Aby jednak z rozwagą potraktować nowe hasła głoszące domniemany rozkwit regionu po wygranych przez obie partie wyborach samorządowych 2014, przypomnijmy część obietnic przedwyborczych, składanych przez działaczy PO i PiS już wcześniej, a których żadna z wymienionych formacji nie wypełniła.

Kiedy powstawała Platforma Obywatelska Rzeczypospolitej Polskiej w polskiej polityce zaczął

wiać wiatr odnowy. Pierwsze cele i założenia zmian w polityce samorządowej proponowane przez tę formację pojawiły się już w tzw. „Deklaracji Oliwskiej” na konwencji założycielskiej w 2001 r. Spośród 12 punktów jeden traktował o zmniejszeniu liczby radnych, a drugi o wprowadzeniu bezpośrednich wyborów wójtów, burmistrzów i prezydentów, co paradoksalnie udało się PO osiągnąć będąc jeszcze opozycją.

Najważniejszym jednak dokumentem był program stworzony przed wyborami 2007 roku zatytułowany „By żyło się lepiej. Wszystkim”. Cały dokument został oprawiony słowami Donalda Tuska - „Polska zasługuje na cud gospodarczy”. Składał się z 12 obszernych rozdziałów, z których część dotyczyła wzmocnienia samorządów i potrzeby wprowadzania głębokiej decentralizacji kraju.

Pierwszy rozdział zatytułowany „Państwo silne, tanie i przyjazne”, przedstawiał propozycje rozwiązań ustrojowych w celu wzmocnienia potencjału instytucjonalnego państwa oraz skuteczności rządu w różnych obszarach polityki. Aby to osiągnąć, Platforma proponowała przede wszystkim rozległy proces decentralizacji, który według tej partii wymagał:

wzmocnienia podstaw majątkowych samorządów oraz znacznej decentralizacji dyspozycji środkami publicznymi na rzecz samorządów, m.in. poprzez radykalne zwiększenie udziału samorządów w podatkach centralnych, także pośrednich, podjęcia pilnych prac państwowych nad standardami wykonywania zadań publicznych prowadzonych przez samorząd oraz podjęcia takich rozwiązań ustrojowych, które wspomagałyby zdolność samorządów do ponoszenia coraz większej odpowiedzialności za stan spraw publicznych. Oznacza to, że we wczesnej fazie działalności PO, działacze tej formacji głosili rozwiązania ustrojowe mające na celu wprowadzenie głębokiej decentralizacji państwa poprzez przekazanie samorządom, czyli województwom, powiatom i gminom obowiązków, które dotychczas spoczywały na barkach administracji centralnej, a mogły być z powodzeniem scedowane na samorządy. I co najważniejsze, wraz z zadaniami nowa formacja polityczna postulowała przekazanie środków finansowych na realizację tych zadań. Z drugiej strony wszystkie procesy decentralizacyjne miały mieć na celu wzmocnienie decyzyjnej mocy władzy centralnej w ten sposób, że rząd mógłby się zajmować problemami rzeczywiście istotnymi z punktu widzenia interesu narodowego.

Ale nie tylko PO zaślęgnęła obietnicami bez pokrycia. Przypomnijmy znamienity mityng przedwyborczy prezesa PiS w zabrzańskiej Fundacji Rozwoju Kardiologii im. prof. Zbigniewa Religi, podczas którego Jarosław Kaczyński wyraził pełnym zdziwieniem dziennikarzem i zaproszonym gościom opinię, jakoby PiS chciał mocnego Śląska, a jako wzór drogi dla tego regionu wskazał niemiecką Bawarię. Zapewnił również, że jeśli zostanie wybrany prezydentem, uczyni wszystko, co w jego mocy, żeby Śląsk tą drogą szedł.

> cd. na str. 3



Herby województwa śląskiego i Bawarii.

List

Sympatycy Ruchu Autonomii Śląska, zwolennicy idei autonomii regionów,



Jerzy Gorzelik
przewodniczący Ruchu Autonomii Śląska

opuszczenie koalicji w samorządzie województwa śląskiego przez RAŚ stało się przedmiotem licznych komentarzy. Niektóre z nich mogą Was onieśmielać i niepokoić. Ci, którzy utrzymywali, że autonomiści nie różnią się od polityków ogólnopolskich partii, przyspawanych do stanowisk, z reguły nie mają dość klasy, by przyznać się do pomyłki. Wieszczą zatem rychły koniec RAŚ, próbując nas pozbawić wiary w sens naszych idei i możliwość ich realizacji. Zaklinają rzeczywistość, by górnośląskie przebudzenie ponownie cofnął do stadium śpiączki. Ich trud jest jednak próżny. Zmiany, które nastąpiły, sięgnęły zbyt głęboko.

Powody porzucenia przez RAŚ koalicji z PO i PSL zostały przedstawione jasno. Obłęd, który od lat rządzi polską polityką, sprawia jednak, że opinia publiczna rzadko przyjmuje najprostsze wyjaśnienie zdarzeń – zgodność czynów z deklaracjami. Tymczasem Ruch Autonomii Śląska nigdy nie ukrywał swoich celów. Chcemy przeobrażenia Rzeczypospolitej Polskiej w państwo zarządzanego centralnie w państwo regionów. Chcemy na Górnym Śląsku polityki prowadzonej w interesie regionu – długofalowo i bez ręcznego sterowania z Warszawy. To te wartości w wyborach 2010 roku zyskały poparcie ponad 120 tysięcy wyborców.

Idąc do ostatnich wyborów samorządowych zapowiadaliśmy, że RAŚ w polityce regionalnej reprezentować będzie nową jakość. I słowa dotrzyaliśmy. Nie ulegliśmy pokusie partyjnej bylejakości, nie zamieniliśmy swoich przekonania na miejsca w zarządach spółek i w radach nadzorczych. Konsekwentnie przypominaliśmy

o istocie samorządności. Kiedy oceniliśmy, że krótkowzroczność koalicjantów i ich podporządkowanie woli politycznych mocodawców z Warszawy uniemożliwiają realizację naszego programu, wybraliśmy lojalność wobec naszych wyborców. Nie uciekliśmy ani od problemów, ani od odpowiedzialności – w przeciwieństwie do partii ogólnopolskich jako ugrupowanie regionalne nie możemy sobie na to pozwolić. Ci, którzy dziś podejmują doraźne decyzje nie zważając na ich długofalowe skutki, odejdą na stanowiska w Warszawie czy Brukseli. My nigdzie się nie wybieramy. I z problemami regionu będziemy mierzyć się nadal.

Nie dajcie odebrać sobie dumy z naszych osiągnięć. Jesteście częścią obywatelskiego ruchu, który nie dysponując państwowymi dotacjami ani gwarantowanym dostępem do ogólnopolskich mediów, wymusił dyskusję o regionalnej tożsamości i ustrojowej pozycji regionów. Ruchu, który w samorządzie wojewódzkim, w powierzo-

nych naszej trosce obszarach, realizował i zaszczepiał myślenie różne od właściwego ogólnopolskim partiom. Wykraczające poza ciasny horyzont czteroletniej kadencji. I to wszystko w sytuacji, w której w ławach sejmiku województwa śląskiego zasiada zaledwie czterech reprezentantów RAŚ.

Opuszczając koalicję, pozornie zrobiliśmy krok w tył, ale tylko po to, by iść do przodu. To dowód siły, a nie słabości. Wykonaliśmy dotąd wspólnie sporą pracę. Największe trudy i największe sukcesy są jednak wciąż przed nami. Nie dajmy uśpić w sobie wolnych i świadomych obywateli. Od naszej determinacji zależy, czy górnośląskie przebudzenie stanie się początkiem przebudzenia wszystkich regionów Rzeczypospolitej Polskiej. Marsz ku prawdziwej samorządności, ku autonomicznemu Górnemu Śląskowi w Polsce Regionów wymaga wytrwałości. Pokażmy ją 13 lipca podczas VII Marszu Autonomii, przypominając o wspólnym dziedzictwie naszego regionu i Polski.



Kartka z kalendarza

Światowy futbol po śląsku

5 czerwca 1938 roku w Strasburgu odbył się mecz niezwykły. Zawodnik jednej z drużyn strzelił przeciwnikowi cztery bramki, a mimo tego schodził z placu jako jeden z pokonanych. Oto jak Ernest Wilimowski zapisał się w historii światowego futbolu.

Spośród piętnastu piłkarzy, których zabrał na Mistrzostwa Świata kapitan związkowy Józef Kałuża, ośmiu grało w śląskich klubach: w hajduckim Ruchu – Giemsa, Brom, Wodarz i Wilimowski, w Naprzodzie Lipiny – Ryszard i Wilhelm Piec, w chorzowskim AKS – Piontek, a w Dębie Katowice – Dytko. Wraz z nimi w drużynie był Góra – urodzony w Szarleju gracz Cracovii i Nytz – katowiczanie z Polonii Warszawa. Spośród nich na boisko wybiegli Wodarz, Wilimowski, Piec, Piontek, Dytko, Nytz i Góra. Na jedenastu reprezentantów w meczu grało siedmiu Ślązaków.

O wół do szóstej sędzia Ivan Eklind gwizdza po raz pierwszy. Biało-Czerwoni nie mieli wiele czasu na przygotowania do turnieju, bo jeszcze 26 maja rozgrywano kolejkę ekstraklasy.

W 18 minucie największa gwiazda Canarinhos, Leônidas, zdobywa pierwszą bramkę. Żadna z gazet nie przytoczy jej opisu, a po latach nikt nie będzie umiał sobie przypomnieć jak wyglądała. Widać emocje i trema zrobiły swoje.

Wilimowskiemu jednak nie w głowie trema. Równy pięć minut po stracie bramki Ezi zaczyna swoje czary i przechodzi z piłką wzdłuż pola karnego mijając dwóch obrońców. Wygląda to, jakby w ogóle nie myślał o atakowaniu

bramki. Nagle staje w miejscu, ogrywa trzeciego Brazylijczyka, rusza na bramkarza, mija go, a ten zatrzymuje go nieprzepisowo. Eklind gwizdza i nakazuje rozegranie karnego. Do piłki podchodzi Fritz Scherfke z Warty Poznań. Strzela w prawo, Batatais nie zdąża. Remis.

Scherfke był poznańskim Niemcem w reprezentacji Polski. Zabawne są koleje losu. Pierwszą bramkę dla Polski na mistrzostwach świata strzela Niemiec, a cztery lata wcześniej pierwszą bramkę dla Niemiec na mistrzostwach świata strzelił Stanislaus Kobierski – urodzony w Düsseldorfie syn polskiego małżeństwa.

Nie minęły dwie minuty, a Canarinhos odzyskują prowadzenie. Hercules przeprowadza piłkę lewą stroną, przesuwa na prawo, gdzie na piętnastym metrze czeka już Romeu. Przyjęcie. Strzał. 2:1.

Przez kolejne dwadzieścia minut Brazylijczycy mają przewagę. W ostatniej chwili, gdy wydaje się, że już nic nie ugrają, któryś z latynosów krótko dośrodkowuje. Góra spóźnia się z reakcją, a Perácio nie marnuje okazji i strzela celnie głową.

Na przerwę Biało-Czerwoni nawet nie schodzą do szatni, tylko siadają w narożniku boiska. Kapitan związkowy Kałuża jest spięty, ale nie zdenerwowany. Mówi szybko, dodaje otuchy. Zaczyna lekko padać. W tym upale to jak zbawienie.

Po wznowieniu gry deszcz się wzmaga. W 53 minucie Ezi ogrywa Domingosa, ośmiesza Batataisa i strzela na 3:2. Boisko robi się błotniste, a Bra-



Fot. P. Płacz, Zdobromie.com

Akcja pod bramką Madejskiego.

zylijczykom gra się ciężko, bo mają złe zrobione buty i rozklejają im się. Leônidas poirytowany na kolegów i na pogodę zdejmuje buty, ale sędzia od razu upomina go i nakazuje założyć je z powrotem.

Wilimowski i spółka biegają w butach od szewca Górki z Katowic i nie mają takich problemów. Za ledwie sześć minut po ostatnim голу Ezi idzie na przebój i dosłownie ogrywa całą brazylijską obronę, doprowadzając do remisu. Deszcz przestaje padać.

Dziewiętnaście minut przed końcem Perácio strzela, a Madejski interwe-

nuje o tyle nieszczęśliwie, że piłka po jego dłoniach odbija się na poprzeczkę, a z niej na kark poskiego bramkarza i wpada do bramki.

Przez kolejne minuty gra jest wyrównana. Piontek i Wodarz mają kilka okazji, ale nic z nich nie wynika. Nagle w 89 minucie kotłuje się w polu karnym Brazylijczyków, piłka ląduje w siatce i Ezi uśmiecha się szatańsko uciekając przed gratulacjami kolegów.

Chwila odpoczynku i rozpoczyna się dogrywka. Canarinhos atakują z impetem przez pierwsze minuty i właściwie od razu przynosi to efekt w postaci gola Leônidasu w 93 minucie. Polska drużyna też jednak nie próżnuje i zapędzający się raz po raz do ataku Nytz strzela z ogromną siłą w spojenie słupka z poprzeczką. Pech.

Sześć minut przed końcem wydarza się dziwna sytuacja. Przy rzucie bramkowym spod bramki Madejskiego do rozegrania piłki przygotowany jest już Galecki, ale ni z tego ni z owego podbiega Szczepaniak z Polonii War-

szawa i próbuje wybić piłkę, choć nigdy nie potrafił tego robić porządnie. Ryje butem w murawie, piłka lekko trącona toczy się kilka metrów, gdzie dopada jej Leônidas i nie daje szans polskiemu bramkarzowi podwyższając na 6:4.

Oczywiście dla Eziego to nie koniec. Niecałe trzy minuty przed końcem znowu ośmiesza obrońców i ustala wynik meczu na 6:5. Jutro katowicka „Polonia” napisze, że gdyby były dwie minuty więcej, to udałoby się wyrównać. Być może.

W latach 1941-1942 Wilimowski rozegra osiem meczów dla Niemiec, czym skaże się na banicję w polskiej pamięci narodowej. W 1978 roku pojawi się książka Stefana Grzegorzycy „Z piłką na ty”, gdzie autor pisząc o meczu z 1938 roku nie wymieni nawet strzelców bramek, ale „pojedynki Szczepaniaka z Leonidasem przewijają się we wszystkich wspomnieniach okresu przedwojennego.” Cóż, taki los śląskiej piłki nożnej w służbie Biało-Czerwonych.

Grzegorz Kulik

Nasze sprawy

Patroni katowickich ulic

W Katowicach, podobnie jak w innych śląskich miastach, wciąż brakuje ulic, którym patronowałyby wybitni i zasłużeni mieszkańcy regionu.

Dodatkowo, jeśli kandydat na patrona ma niemieckobrzmiące nazwisko, wywołuje to u części samorządowców reakcje alergiczne. Oczywiście znaleźć można przykłady bardzo udanych inicjatyw nazywania ulic czy skwerów, kiedy radni potrafią rzetelnie ocenić osobę ponad partyjnymi i etnicznymi uprzedzeniami. W Katowicach jeszcze wielu znakomitych obywateli tego miasta czeka na docenienie i przywrócenie należnej im pozycji. Katowicki RAŚ chce podejść do tego tematu w sposób kompleksowy. Pierwszym krokiem będzie zaproponowanie patronów dla 6 nowych ulic w tzw. „kwartale kultury”. Powinny być to osoby zasłużone dla katowickiej i śląskiej kultury tj.: znakomity architekt Karol Schayer



Nazwy ulic mogą być różne, ale jako, że są znane każdemu poprzez swoje nazewnictwo mogą spełniać także funkcje edukacyjne.

(1900 – 1971), światowej sławy artysty Hans Bellmer (1902 – 1975), Henryk Mikołaj Górecki (1933 – 2010), Andrzej Urbanowicz (1938 – 2011), dziennikarz Michał Smolorz (1955 – 2013) oraz za-

służona dla Katowic rodzina Gruenfeldów. Nasza propozycja będzie także testem dla katowickich radnych. Mam nadzieję, że tym razem staną na wysokości zadania.

Marek Nowara

W skrócie

Święto Miasta Chorzów 2013

Już kolejny raz Koła Ruchu Autonomii Śląska działające na terenie miasta Chorzów wraz z wieloma organizacjami użyteczności publicznej, szkołami, organizacjami społecznymi uczestniczyły w Wielkiej Paradzie Ulicznej, która przeszła ulicą Wolności. W tym roku symbolem parady była flaga śląska niesiona przez członków i sympatyków Ruchu Autonomii Śląska z Chorzowa i nie tylko. W czasie parady rozdawane były chorągiewki w barwach śląskich oraz nasza „Jaskółka”, a także z inne drobne śląskie gadzety. Już po raz kolejny zaznaczyliśmy swoją obecność w naszym mieście, czego odzwierciedleniem było przyjęcie nas przez mieszkańców oklaskami. Mam nadzieję, że nasz udział stanie się stałym elementem obchodów Święta Miasta Chorzowa.



Chorzów Święto Miasta

Strefa absurdu





Temat wydania

Województwo śląskie i Bawaria - porównanie

> cd. ze str. 1



Kuriozalne stwierdzenie Jarosława Kaczyńskiego zszokowało śląskie media i rozgrzało dyskusję dotyczącą przyszłości

regionu. Jak już wiemy po następnych wypowiedziach prezesa PiS, przyszłość pokazała zgoła odwrotną tendencję. Śledząc przedwyborcze deklaracje polityków i konfrontując je z powyborczą rzeczywistością,

przychodzi na myśl tytuł piosenki popularnego niegdyś alternatywnego zespołu rockowego Tilt – „Nie wierzę politykom”. Dla zobrazowania sytuacji gospodarczej i politycznej naszego regio-

nu, proponujemy zestawienie zakresu samorządności w przywoływanej przez prezesa Kaczyńskiego Bawarii i województwie śląskim. Zachęcamy do lektury i porównania dwóch re-

gionów Europy, z których drugi miał czerpać z doświadczeń pierwszego. Jak jest w rzeczywistości, oceńcie Państwo sami.

| Obszar działania | Bawaria  | Województwo śląskie  |
|---|---|---|
| Pozycja na tle ogólnokrajowym | Kraj związkowy; państwo z ograniczoną suwerennością i domniemaniem kompetencji | Województwo rządowo-samorządowe |
| Niezależny system partyjny | Tak | Nie |
| Podstawa funkcjonowania | Własna konstytucja - treść musi zostać zaakceptowana przez obywateli w referendum | Statut województwa - treść musi zostać uzgodniona przez rząd centralny |
| Odrębny system prawny i możliwość uchwalania ustaw | Tak | Nie |
| Wpływ na kształt konstytucji ogólnokrajowej i prawa ogólnokrajowego | Tak, poprzez Bundesrat | Brak |
| Wpływ na procedurę wyborów landtagu/sejmiku, kompetencje, | Pełny | Brak |
| Kształt historyczny | Trzy ziemie: (tzw. Stara) Bawaria, Frankonia i Szwabia | Wschodnia część Górnego Śląska i zachodnia część Małopolski |
| Import / eksport | 146/160 mld € (2011) | 13,3/18,8 mld € (2010) |
| Liczba pasażerów na lotniskach w 2012 | 43 mln (Monachium, Norymberga, Allgäu, Hof-Plauen) | 2,5 mln (Pyrzowice) |
| Procent bezrobotnych | 3,7% (maj 2013) | 11,9% (kwiecień 2013) |
| System sądownictwa | Własny i odrębny od federalnego | Określony przez centralę |
| System prawny samorządów | Własny i odrębny od federalnego | Narzucony przez centralę |
| Zakładanie związków komunalnych | Kwestię określają przepisy ustaw krajowych. Istnieje kilka form współpracy: wspólnota administracyjna, wspólnota robocza, porozumienie celowe, związek celowy oraz według prawa prywatnego (spółki, stowarzyszenia itd.) | Kwestia określona przez ustawy ogólnokrajowe. Można powołać związek międzygminny, porozumienie międzygminne i stowarzyszenie gmin |
| Institucje demokracji bezpośredniej | Na poziomie landu: inicjatywa ustawodawcza i referendum. Na poziomie powiatu: inicjatywa uchwałodawcza z referendum i wniosek obywatelski (o zajęcie się konkretną sprawą). Na poziomie gminy: inicjatywa uchwałodawcza z referendum, wniosek obywatelski i zgromadzenie obywateli. | Na poziomie województwa, a także powiatu i gminy: referendum i konsultacje społeczne. |

Monika Kassner, Mariusz Wons

Wiadomo z góry

Śląska hańba domowa



Opozycyjna piaskownica

Ruch Autonomii Śląska opuszczając koalicję w samorządzie województwa śląskiego zapowiedział, że zamierza odgrywać rolę

opozycji merytorycznej. A zatem innej niż ta, którą tworzą ogólnopolskie partie, coraz częściej powielające wzory z warszawskiego sejmu.

O różnicy tej można się było przekonać podczas pierwszej sesji sejmiku, w której uczestniczyliśmy już w nowej roli. Kiedy zbliżał się moment głosowania nad powołaniem do zarządu województwa Arkadiusza Chęcińskiego z PO, lider wojewódzkiej struktur SLD, pan poseł Balt, zaproponował nam, by wraz z pozostałą częścią opozycji opuścić salę. Oznaczałoby to zerwanie kworum i zablokowanie wyboru piątego członka zarządu. Propozycja ta padła tuż przed głosowaniem, a jej autor, znany radnym głównie z wyzywania Ślązaków od folksdojczów, nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie: „Co dalej?”.

RAŚ na sali pozostał, jako jedyne ugrupowanie opozycyjne, w przekonaniu, że radny otrzymuje dietę za udział w sesjach i głosowaniach. I musi się liczyć z tym, że jeśli nie zgromadzi wokół swoich pomysłów większości, zostanie przegłosowany. W tajnym głosowaniu Arkadiusz Chęciński otrzymał poparcie dwudziestu trzech osób, a więc, jak można się domyślać, wszystkich obecnych radnych PO i PSL. W klubie RAŚ nie zarządzono dyscypliny, jednak łatwo wyciągnąć wniosek, że do naszej grupy należały cztery głosy, które kandydatury pana



Gmach Sejmu Śląskiego - miejsce zabaw części radnych sejmiku.

Chęcińskiego nie poparty. Opozycja, dysponująca łącznie dwudziestoma czterema głosami, gdyby pojawiła się na głosowaniu w komplecie i uzgodniła wspólne stanowisko, mogła kandydaturę polityka PO odrzucić. Nie jest jednak tajemnicą, że w głosowaniach tajnych ani klub SLD, ani też PiS nie mogą być pewne wszystkich swoich radnych. Stąd pomysł z opuszczeniem sali, który przypomina bardziej zabawy małych dzieci niż zachowanie dojrzałych i odpowiedzialnych polityków. RAŚ zamierza z PO się spierać, a nie robić jej na złość.

Styl uprawiania polityki przez partie ogólnopolskie znalazł swój wyraz również w głosowaniu nad likwidacją filii Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej w Wodzisławiu Śląskim. Likwidacja jest w tym przypadku określeniem grubo na wyrost. Biblioteka będzie nadal działać, jednak związane z tym finansowe zobowiązania zgodził się przejąć powiat. Stanowi to drobną ulgę dla obciążonego ponad miarę budżetu województwa. Wydawałoby się, że sprawa nie powinna budzić najmniejszych

kontrowersji wśród radnych sejmiku. Wszak reprezentują samorząd województwa, borykający się z poważnymi problemami finansowymi. Tymczasem kluby PiS i SLD uchwały nie poparły, co – całe szczęście – nie przeszkodziło w jej przyjęciu.

Na kolei rzeź, a w Warszawie radość

Największe kompromitacje ostatnimi czasami stały się jednak udziałem nie partii opozycyjnych, lecz rządzącej wraz z PSL Platformy Obywatelskiej. Do najbardziej dotkliwych dla mieszkańców województwa należy wdrożenie tzw. programu naprawczego Kolei Śląskich. To poglądowy przykład „naprawiania” przez psucie. Cięcie połączeń dokonane zostało w sposób, który pozwala się domyślać zastosowania najbardziej wyrefinowanych metod: na chybił trafił lub na złość pasażerom. Na początku urzędowania marszałka Sekuły Ruch Autonomii Śląska przedstawiał propozycje pozyskania zewnętrznych środków w celu sfinansowania strat spółki Koleje Ślą-

skie, bez konieczności tak drastycznego ograniczania liczby połączeń. Bez skutku. Nawet teraz byłoby możliwe uniknięcie wielu absurdów w nowym rozkładzie. Jak twierdzą sami pracownicy Kolei Śląskich, w ramach obecnej dotacji mogłoby realizować znacznie więcej połączeń. Złośliwi twierdzą, że marszałek Sekuła robi wszystko, by pomóc byłemu pryncypałowi z czasów swojej wiceprezydentury miasta Zabrze, który dziś kieruje KZK GOP. Dotychczasowi klienci kolei na części linii znajdują alternatywę w postaci autobusów.

Po masakrze kolejowego rozkładu jazdy przyszedł czas na dokończenie pacyfikacji Muzeum Śląskiego, którego były dyrektorem, Leszek Jodliński, ośmielił się zaproponować wizję historii Górnego Śląska odbiegającą od propagandowych schematów importowanych z Warszawy. Bardzo to rozsierdziło pana prezydenta Komorowskiego. Zwłaszcza, że niesfornemu dyrektorowi przychodziły do głowy tak niestosowne pomysły, jak zaproszenie na otwarcie nowej siedziby muzeum

prezydentów Rzeczypospolitej, RFN i Republiki Czeskiej. Jeszcze by kto zważył w odwieczną polskość Śląska! Poleciał zatem prezydent Komorowski marszałkowi Sekule i ministrowi kultury Zdrojewskiemu, by Jodliński broń Boże konkursu na dyrektora Muzeum Śląskiego nie wygrał. O tym, że konkurs jest ustawiany mówiono od dawna, trudno zatem się dziwić, że poza samym Jodlińskim nie zgłosił się żaden muzealnik z dorobkiem. W stawce byli za to poeta, malarz, konserwator dzieł sztuki i historycy. Podczas przesłuchań kandydatów okazało się to, co łatwo było przewidzieć: Jodliński zdecydowanie górował nad konkurencją. Za poddaniem pod głosowanie jego kandydatury opowiedziało się wszystkich jedenaścioro członków komisji. Zakwalifikowano jeszcze dwóch kandydatów, jednak z wyraźnie mniejszą liczbą rekomendacji. I cóż stało się wtedy? Ano przedstawiciele ministerstwa kultury i dziedzictwa narodowego oświadczyli bez ogródek, że ani pan marszałek, ani też pan minister nie zgadzają się na wygraną Leszka Jodlińskiego. Per-swazja okazała się skuteczna – na Jodlińskiego padły dwa głosy, pięć osób wstrzymało się (!), a cztery osoby, wszystkie zależne od ministerstwa, poparły kandydaturę prawnika z wykształcenia i poety, pana Lesława Nowary z Gliwic.

Determinacja, z jaką dążono do usunięcia dyrektora Muzeum Śląskiego za to, że ośmielił się na historię Górnego Śląska spojrzeć oczami samych Ślązaków, jasno pokazuje, że nasz region w umysłach polityków takich jak prezydent Komorowski, ma wciąż status kolonii. Kolonii, którą kontrolować należy rękami usłużnych miejscowych wasali. Tych niestety nie brakuje, co pozostaje naszą śląską hańbą domową.



Z Januszem Witą radnym RAŚ sejmiku województwa śląskiego rozmawia Monika Kassner

Samorządność połowiczna

Mamy dobrą okazję, by porozmawiać o samorządności w Polsce teraz, w roku 2013. RAŚ organizuje już od lat Marsz Autonomii w rocznicę jej uchwalenia w Polsce przedwojennej dla części Górnego Śląska. Głównym hasłem, postulatem tej coraz liczniejszej manifestacji jest niezmiennie żądanie przywrócenia autonomii Górnemu Śląskowi. Autonomii, czyli realnej, faktycznej samorządności. W ostatnich ponad dwudziestu latach wśród reform, które objęły nasz kraj, jako jedną z najefektywniejszych przywołuje się reformę samorządową ustanawiającą gminy, właśnie samorządowe. Jak pan ocenia kondycję samorządności we współczesnej Polsce?

Faktycznie, mieliśmy w nieodległej przeszłości wielokrotnie okazję być świadkami świętowania samorządności przez gminy, szczególnie w tej części Górnego Śląska, w której mieszkam. Właśnie dlatego, że w wielu gminach bardzo wyraźnie dało się zauważyć jakościową różnicę w ich funkcjonowaniu. A po drugie też i z tego powodu, że na kanwie reformy samorządowej powstało na drodze wyodrębnienia z wcześniejszych, dużych gmin, np. miejskich, wiele gmin mniejszych, które kiedyś, w przeszłości funkcjonowały samodzielnie, a w okresie PRL zostały włączone do innych, większych. Tak się np. stało w powiecie wodzisławskim, gdzie wiele gmin się na powrót usamodzielnilo. I one tym bardziej mają wiele powodów do satysfakcji ze względu na odzyskanie samodzielności. Trzeba jasno powiedzieć, że rewolucyjna wręcz decyzja o utworzeniu samorządowych gmin w 1990 roku spowodowała, także u nas, na Górnym Śląsku wiele dobrego. Pozwoliła wielu osobom z ogromnym potencjałem zaangażować się w sposób sprawczy i konkretny w działania na rzecz swojego miasta, gminy. I mimo, że popełniono wiele błędów, że nie wykorzystano wielu oczywistych szans, że zmarnowano sporo inicjatyw, to jednak efekty samorządności wyznaczonej ustawą o samorządzie gminnym z 1990 roku są imponujące. I to jest bardzo czytelny, oczywisty dowód na to, by optować za jak największą samorządnością. Za autonomią.

No dobrze, w takim razie zapytam, skąd biorą się tak licznie przecie-



Janusz Wita, radny sejmiku województwa śląskiego Ruchu Autonomii Śląska z okręgu rybnickiego, zastępca przewodniczącego komisji rolnictwa i terenów wiejskich, przewodniczący doraźnej komisji ds. współpracy z organizacjami pozarządowymi; w latach 2003-2010 zastępca wójta gminy Mszana; z zawodu rolnik.

słyszane głosy krytyki płynące ze środowisk samorządowych na trudności w funkcjonowaniu właśnie tych samorządów? Z Pana wypowiedzi można wywnioskować, że jest do-

brze. Ależ żyjemy w Polsce! A jak to w Polsce, jak coś w jakiś sposób funkcjonuje, to natychmiast pojawiają się „poprawiacze”. I „poprawiacze” poprawiają, poprawiają, aż bardzo często zepsują coś, co było przedmiotem ich zainteresowania. I tak, jak w przypadku historii z uwolnieniem gospodarki w czasach przełomu roku 1990, kiedy na skutek odważnych decyzji prorynkowych powstało kilka milionów miejsc pracy, głównie w małych, rodzinnych firmach, a potem „poprawiacze” zaczęli majstrować w przepisach i zamiast ułatwień w prowadzeniu biznesu mamy rozbuchany do granic absurdu, bardzo często słaby kompetencyjnie, aparat kontrolno – ad-

ministracyjny w gospodarce, co skutkuje horrendalnie wysokimi kosztami działalności i w efekcie bezrobociem, emigracją i innymi fatalnymi następstwami, tak samo w sferze samorządności mamy regres. Niestety, za udanym początkiem nie poszły konsekwentnie kolejne kroki w upodmiotowieniu obywateli. A obywatele wielokrotnie dali dowód, że mają wolę się angażować w rozwój swojej małej ojczyzny. Utworzono w kolejnym etapie powiaty i samorządowe województwa. Ale tu już brakło, moim zdaniem, i konsekwencji i podejścia racjonalnego. Bowiem np. powiaty, przynajmniej na naszym terenie są też zbyt słabe, by skutecznie rozwiązywać problemy mieszkańców danego terenu. Powodów tej słabości jest co najmniej kilka. Jedne opierają się o to, że obszar powiatu bardzo często nijak nie pasuje do układu wytworzonego w ciągu dziejów i nie poradzi sobie skutecznie ze

zbyt rozbitym terytorium. A inne oczywiście polegają na niewłaściwym programowaniu dochodów JST. I tu kapitalnym przykładem może być województwo, nazwane samorządowym.

Ale niestety, jego dochody nie są na tyle poważne, by rzeczywiście mogło się tak nazywać. I żeby było jasne – nie chodzi o utworzenie jakichś nowych podatków. Obywatele i tak płacą ich zbyt dużo w różnych, zresztą zbyt wielu formach. Chodzi o ich zbieranie i wydawanie tam, skąd pochodzą. A gdy do tego dodamy bardzo surrealistyczny obszar utworzonego województwa, mylnie nazwanego województwem śląskim i wynikające z tego komplikacje, to niestety musimy powiedzieć, że „poprawiacze” znowu skutecznie utrudnili nasze życie.

Co w związku z tym należy przedsięwziąć, aby uzyskać większą efektywność naszych, wspólnych wysiłków?

My w RAŚ już od lat proponujemy, sprawdzone i na Śląsku, i w innych miejscach Europy oraz świata rozwiązanie – autonomia regionalna i maksymalizacja samorządności. Czyli faktyczne stosowanie zasady pomocniczości polegającej na pozostawieniu jednostce, czy małej społeczności prawa do skutecznego rozwiązywania swoich problemów na własną odpowiedzialność i za własne środki. Jeśli dana społeczność nie potrafi sobie poradzić z danym zadaniem, wtedy łączy się z inną i razem stawiają temu czoła. Nie może być tak, jak teraz, że np. gminie do zadań własnych zaliczono prowadzenie oświaty nie zapewniając całkowitego pokrycia kosztów z tym związanych z przynależnej prawem subwencji oświatowej. Przykładowo, w gminie Godów, gdzie możemy obserwować wysoką sprawność samorządowców w działaniach gminnych, z ust wójta pana Mariusza Adamczyka usłyszałem dane będące dobrą ilustracją choroby toczącej samorządność w Polsce, a której źródłem jest centralistyczne przekonanie, że urzędnik w Warszawie wie wszystko o potrzebach, choćby w sporu od niej oddalonym Godowie. Otóż wydatki oświatowe sięgają rocznie kwoty ok. 16 mln zł, a subwencja oświatowa, czyli dopłata państwa nie sięga 10 mln zł. Brakującą kwotę samorząd gminny musi zdobyć sam. Rodzi się pytanie, kto lepiej oszacował koszty prowadzenia działalno-

ści oświatowej w gminie – czy urzędnik centrali czy samorządowcy? I skąd tak wielka różnica? Wydaje mi się, także w oparciu o moje doświadczenie gminne, że raczej założono w centrali, iż należy dać tyle, ile się uważa, a pozostała kwota zainteresowany sobie, jeśli tylko będzie chciał, to znajdzie np. w innym rozdziale budżetu. Czy tak ma wyglądać samorządność? Czy nie byłoby lepiej, efektywniej pozostawić więcej z podatków dla poszczególnych JST. Przecież taki VAT idzie w całości do Warszawy.

I tam znika w bezdennych czeluściach budżetu państwa.

Tak. A przecież wprowadzenie zasady autonomii wydatnie przyczyniłoby się do skrócenia łańcucha decyzji i odpowiedzialności, co w istocie zwiększa efektywność działań za publiczne, czyli nasze, pobrane od nas prywatne pieniądze. Oczywiście centralnie gromadzony fundusz kompensacyjny byłby dobrym mechanizmem wyrównywania naturalnie występujących różnic w rozwoju poszczególnych regionów. Coś na kształt znanego nam Funduszu Spójności.

Czyli sporo inicjatyw należy jeszcze podjąć, aby skutecznie zbliżyć się do sytuacji modelowej?

Tak, sporo. Chociaż widząc efekty dokonanej samorządowej w skali kraju, mam nadzieję, że przekonywanie do rozwiązań proponowanych przez RAŚ będzie coraz skuteczniejsze. Można powiedzieć, że proporcjonalnie do zapędów centralistycznych, etatystycznych, środowiska samorządowe skuteczniej będą stawać w obronie przed absurdalnymi pomysłami. Bo dochodzimy do sytuacji, używając określenia prof. J.Regulskiego, jednego z twórców reformy samorządowej z 90 r., który wyraził się w jednym z wywiadów, iż problemem jest fakt, że państwa jest zbyt dużo, a to spycha samorządy do roli ubogiego krewnego. Dopowiem, czyli zależnego. Od aktualnej koniunktury politycznej krajowej, od układu lokalnych sił politycznych odwzorowującego układ partii centralnych, od relacji międzyludzkich na szczeblach władzy. Czyli czynników, które nie powinny mieć wpływu na stabilizację funkcjonowania samorządów w Polsce.

Od autonomii do metropolii

Czy Katowice mają szansę na metropolię?

Metropolia, idea wymyślona przez byłego wojewodę śląskiego Tomasza Pietrzykowskiego, do tej pory nie doczekała się realizacji.

Choć większość jej zwolenników miała nadzieję, że jej powołanie będzie argumentem, który raz na zawsze zamknie dyskusję na temat powrotu górnośląskiej autonomii, okazało się, że dla warszawskich polityków nawet taka instytucja, ledwie zacieśniająca współpracę między miastami Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego (w dodatku zarówno śląskimi jak i zagłębiowskimi), a więc wydawać by się mogło, zupełnie bezpieczna z punktu widzenia mitycznej jedności państwa polskiego, jest potencjalnie podejrzana. Jakie powody sprawiły, że dotąd nie udało się metropolii powołać?

Jednym z głównych „hamulców” tego projektu był fakt, że prezydenci poszczególnych miast, choć oficjalnie deklarowali pełne poparcie tej idei,

w istocie nie palali do niej wielką miłością. Cóż się dziwić, że nie chcą się dzielić władzą, a takie rozwiązania właśnie przewidywały wszystkie z tworzonych projektów ustaw metropolitalnych. Trudno też mówić o jakimś kolosalnym poparciu dla tej idei ze strony mieszkańców GOP. Choć idea ta była bardzo często obecna w mediach, zwykle przedstawiano pozytywnie jej strony dotyczące stosunkowo niewielkiego obszaru – centrum Katowic. Trudno było dostrzec, co dzięki metropolii mieli zyskać mieszkańcy Miechowic, Halemby czy Bańkowa. Dyskusja o metropolii dotyczyła się też tylko poziomu życia. Nikt nie podniósł nigdy tematu, który w prawdziwych metropoliach jest niezwykle ważny – stosunków narodowościowych i etnicznych. Wszak w Nowym Jorku, Londynie czy Berlinie właśnie współistnienie wielu grup etniczno-narodowych tworzy metropolitalny kolor. Tymczasem tak istotna kwestia



jak tożsamość śląska została kompletnie zepchnięta na margines metropolitalnego dyskursu.

Przeprowadzone przed rokiem badania wskazują, że Śródmieście Katowic, jest jedną z najmniej śląskich

dzielnic tego miasta. To potwierdza obserwacje, które czynią np. mieszkańcy Chorzowa, Świętochłowic czy Rudy Śląskiej w czasie wizyt w stolicy województwa. Sami mieszkają w bardziej śląskich środowiskach, boją się

więc, że pod wpływem „metropolii” ich rodzime środowiska ulegną dalszej etnicznej erozji.

Często narzeka się na Śląsku, że ogólnopolskie media pokazują wszystko tylko z punktu widzenia Warszawy. Okazuje się, że media (i nie tylko media) regionalne skupiły się tylko na Katowicach. Mamy więc debaty „jak się bawić na Mariackiej?” czy o tramwaju do Ligoty i Piotrowic choć problemy komunikacyjne w innych miastach są jeszcze większe. Mamy więc badania socjologiczne tożsamości narodowej mieszkańców Katowic, choć kwestia ta w innych miastach może być jeszcze bardziej interesująca. Dopóki ta sytuacja się nie zmieni, dopóty poparcie dla metropolii nie będzie wykraczało poza niewielkie grupy intelektualistów, katowickiej młodzieży i śląskich postów, chcących pochwalić się czymś przed wyborcami.

Rafał Adamus



INFORMATOR

RAŚ RUCH AUTONOMII ŚLĄSKA

Koło RAŚ Bieruń - Łędziny

e-mail: sbl@autonomia.pl
Przewodniczący: Dariusz Dyrda
tel. 501 411 994

Koło RAŚ Bytom

e-mail: bytom@autonomia.pl
Osoba kontaktowa: Tomasz Jarecki
tel. 730 905 200

Koło RAŚ Chełm Śląski

e-mail: chelm@autonomia.pl
Przewodniczący: Aleksander Kiszka
tel. 606 932 834

Koło RAŚ Chorzów I

e-mail: chorzow@autonomia.pl
Przewodniczący: Krzysztof Szulc
tel. 603 656 197

Koło RAŚ Chorzów II

e-mail: florek555@interia.pl
Przewodniczący: Marian Skalbiana
tel. 698 122 068

Koło RAŚ Czerwionka-Leszczyny

czerwionka-leszczyny@autonomia.pl
Przewodniczący: Andrzej Raudner
tel. 604 523 147

Koło RAŚ Gliwice

e-mail: gliwice@autonomia.pl
Przewodniczący: Szymon Koziol
tel. 723 728 944

Koło RAŚ Katowice

e-mail: katowice@autonomia.pl
Przewodniczący: Marek Nowara
tel. 602 335 420

Koło RAŚ Katowice Południe

e-mail: rottenburg@poczta.onet.pl
Przewodniczący: Tomasz Świdergał
tel. 790 899 146

Koło RAŚ Kobiór

e-mail: kobior@autonomia.pl
Przewodniczący: Piotr Klakus
tel. 604 526 733

Koło RAŚ Leszczyny

e-mail: kluczniokowie@wp.pl
Przewodniczący: Ewa Kluczniok
tel. 797 411 494

Koło RAŚ Lubliniec

e-mail: lubliniec@autonomia.pl
Przewodniczący: Halina Trybus
Zasięg: powiat lubliniecki

Koło RAŚ Lyski

e-mail: lyski@autonomia.pl
Przewodniczący: Grzegorz Gryt
Zasięg: Lyski, Gaszowice, Jejkowice

Koło RAŚ Mikołów

e-mail: mokolow@autonomia.pl
Przewodniczący: Karol Sikora
tel. 510 077 053

Koło RAŚ Mysłowice

e-mail: myslowice@autonomia.pl
Przewodniczący: Lucjan Tomecki
tel. 605 958 499

Koło RAŚ Region Opolski

e-mail: ras@rasopole.org
Przewodniczący: Marek J. Czaja
tel. 693 567 733

Koło RAŚ Piekary Śląskie

e-mail: piekary@autonomia.pl
Przewodniczący: Dariusz Krajana
tel. 791-222-579

Koło RAŚ Pszczyna

e-mail: pszczyna@autonomia.pl
Przewodniczący: Zdzisław Spyra
Zasięg: powiat pszczyński

Koło RAŚ Ruda Śląska

e-mail: ruda@autonomia.pl
Przewodniczący: Roman Kubica
tel. 607 336 844

Koło RAŚ Rybnik

e-mail: rybnik@autonomia.pl
Przewodniczący: Dariusz Marszolek
Zasięg: powiat Rybnik

Koło RAŚ Siemianowice Śląskie

siemianowice@autonomia.pl
Przewodniczący: Rafał Hornik
tel. 535 080 008

Koło RAŚ Śląsk Cieszyński

slaskcieszynski@autonomia.pl
Przewodniczący: Grzegorz Szczepański
tel. 781 779 882

Koło RAŚ Świerklany

e-mail: swierklany@autonomia.pl
Przewodniczący: Andrzej Kielkowski
tel. 507 308 792

Koło RAŚ Świętochłowice

swietochlowice@autonomia.pl
Przewodniczący: Monika Kassner
tel. 516 056 396

Koło RAŚ Tarnowskie Góry

e-mail: boino@centrum.cz
Osoba kontaktowa: Roman Boino
tel. 605 062 700

Koło RAŚ Tychy

e-mail: tychy@autonomia.pl
Przewodniczący: Jerzy Szymonek
tel. 508 597 837

Koło RAŚ Wodzisław/Żory

e-mail: wodzislaw@autonomia.pl
Przewodniczący: Adrian Wowra
tel. 502 144 446

Koło RAŚ Zabrze

e-mail: historyk@interia.pl
Osoba kontaktowa: Marek Smuda
tel. 600 350 629

Szczegóły dotyczące poszczególnych kół znajdują się na naszej stronie: <http://autonomia.pl>

Koło RAŚ Mikołów

pierwszy i trzeci poniedziałek miesiąca w Łaziskach Średnich, ul. Wyszyńskiego 8 (II piętro, p. 24) w godz. 18.00-19.00
Zasięg: powiat mikołowski.

Koło RAŚ Mysłowice

ul. Mikołowska 4a
wtorki 18.00-19.00

Koło RAŚ Pszczyna

ul. 3 Maja 15a
pierwsza środa miesiąca 18.00

Koło RAŚ Ruda Śląska

ul. Niedurnego 36/409
wtorki 17.00-18.00

Koło RAŚ Świętochłowice

ul. Kubiny 16a
środy 18.00

ZAPRASZAMY

Prenumerata „Jaskółki Śląskiej”

Czytelników zainteresowanych prenumeratą prosimy o zamówienia drogą mailową – HYPERLINK „mailto:prenumerata@jaskolkaslaska.eu” prenumerata@jaskolkaslaska.eu lub telefonicznie – 503387437. Koszt wysyłki jednego numeru wynosi 4 zł, prenumerata roczna 40 zł (11 numerów). Istnieje możliwość wysyłki za granicę oraz zamawiania wybranych numerów archiwalnych. Dane do przelewu: Ruch Autonomii Śląska, ul. Dąbrówki 13/401, 40-081 Katowice, nr konta 72 1020 2313 0000 3102 0190 3335 z dopiskiem: Prenumerata Jaskółki Śląskiej. **Red.**

Kto jest kim w RAŚ

Marek Nowara



Jest przewodniczącym koła RAŚ Katowice. Urodził się w Katowicach, w dzielnicy Welnowiec – Józefowiec, gdzie mieszka do dzisiaj. Jest absolwentem kulturoznawstwa (specjalizacja teoria i historia kultury) Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jest także miłośnikiem Katowic, którym poświęcił pracę dyplomową pt. „Etniczność Katowic. Studium antropologiczne”.

Od lat jest związany z regionalnymi organizacjami pozarządowymi działającymi na rzecz społeczności lokalnych. W ramach tych działań koordynował oraz organizował wiele przedsięwzięć kulturalnych, edukacyjnych i społecznych. Formalnie został członkiem RAŚ

pod koniec 2010 r. W listopadzie 2010 był kandydatem popieranym przez RAŚ w wyborach do Rady Jednostki Pomocniczej nr 11 Welnowiec-Józefowiec (tzw. Rada Dzielnicy). Podczas pierwszej sesji został wybrany przewodniczącym tej Rady. Jest członkiem zespołu do spraw wprowadzenia budżetu obywatelskiego w Katowicach.

Zawodowo związany jest z sektorem kultury – obecnie pracuje w jednym ze stowarzyszeń, gdzie zajmuje się współpracą z instytucjami publicznymi oraz innymi NGO – sami.

Jego pasją są podróże. Do tej pory największą przygodą życia były dwa miesiące spędzone w Indiach. **Red.**

Kto jest kim w RAŚ

Karol Fleischer

Jest wiceprzewodniczącym koła Ruchu Autonomii Śląska Katowice – Południe. Urodził się 31 lat temu w Katowicach. Syn matki Zofii, której dziadkowie po wielu zawirowaniach wojennych osiedlili się w Pszczynie oraz ojca Józefa, mieszkającego od pokoleń w bytomskim Rozbarku, a po wojnie w Świętochłowicach. W ostatnim spisie ludności zadeklarował się jako Ślązak.

Swoje życie poświęcił zgłębianiu przedmiotów technicznych, kiedy w roku 2002 rozpoczął studia na wydziale Mechanicznym – Technologicznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Pięć lat później zdobył tytuł zawodowy, a po siedmiu podniósł go do tytułu magistra inżyniera w dziedzinie inżynierii jakości. Dziś jest pracownikiem w niemieckim przedsiębiorstwie z branży motoryzacyjnej.

Swoją działalność w RAŚ rozpoczął w roku 2011 po spontanicznej akcji „Złoto – niebieskie serce” w Katowicach. Tam poznał działaczy koła katowickiego, z którym nawiązał współpracę. Rok później przeniósł się do katowickiego pododdziału – Katowice koło Południe. W międzyczasie wziął udział w Marszu Autonomii oraz „Marszu na Zgodę”, pomimo iż jego rodzina



nie zaznała takiej tragedii. Reprezentował RAŚ w radińskim III Maratonie rowerowym oraz pomagał w akcji „Czysta Kłodnica”. Prywat-

nie jest amatorem grania na gitarze oraz kolekcjonerem książek o tematyce fantasy. **Red.**

JASKÓŁKA ŚLĄSKA

WYDAWCA:
Ruch Autonomii Śląska

Redaktor naczelna:
Monika Kassner

Kontakt z redakcją:
redakcja@jaskolkaslaska.eu
www.jaskolkaslaska.eu
tel. 516 056 396

Siedziba wydawcy:
ul. ks. Norberta Bończyka 9/4
40-209 Katowice

Korekta: Norbert Slenzok
Skład: Tomasz Pałka, MCG
www.mediactivegroup.pl

Nakład: 14.000 egz.

Wojenne losy Ślązaków

Synek z Biertułów

Marian
Kulik

Pan Emil urodził się w podrybnickich Biertutowach, ale większość swojego życia spędził w Rybniku, gdzie miałem przyjemność się z nim spotkać i porozmawiać o jego młodzieńskich latach naznaczonych wojną, które podobnie jak większość jego kolegów spędził w Wehrmachcie.

Pan Emil o sobie.

Urodziłem się w 1923 r. jako piąte dziecko. Po mnie urodziła się jeszcze trójka. Tak, że w sumie było nas ośmiu rodzeństwa, ale też było to świetnym treningiem w kontekście tworzenia przyjaznego klimatu w przyszłych relacjach z ludźmi, których było mi dane spotkać na swojej życiowej drodze.

Jedyną osobą w naszej rodzinie, która pracowała, był ojciec i jakoś się tak dobrze składało, że był w stanie zapewnić nam godne życie, co wcale nie znaczy, że okres tzw. „starej Polski” był na Śląsku okresem dobrobytu. Nic podobnego. Według moich obserwacji był to czas wielkiego bezrobocia i ściśle związanej z tym nędzy.

Z opowiadań rodziców pamiętam, że gdy ojciec wrócił z frontu I wojny światowej, od razu dał się wciągnąć do powstania po stronie polskiej i dzięki temu po zakończeniu tych awantur śląskich, już jako kombatant mógł liczyć na pewne przywileje, czym w jego przypadku była stała i godnie wynagradzana praca, najpierw na stanowisku tokarza, a potem kolejarza.

W 1932 r. ojciec, już jako pracownik kolei, otrzymał nakaz wyjazdu do Nowego Sącza, gdzie otrzymaliśmy mieszkanie służbowe. Tam też skończyłem szkołę powszechną.

Dzisiaj jestem pewien, że ojciec jako człowiek jeżdżący po całej Polsce i mający kontakt z wieloma różnymi ludźmi, przewidywał to, co miało się wydarzyć, bo wielokrotnie powtarzał mi – „Idzie ku nowej wojnie, przed którą musicie uciekać na Śląsk”. Ojciec zmarł nagle 27 lipca 1939 roku. Parę dni po jego śmierci wyjechałem na Śląsk do siostry, która wyszła za mąż i mieszkała w Rybniku na tzw. Pioskach.

Wrzesień 1939

To, co zapamiętałem z tamtych gorących przedwojennych dni, to przede wszystkim ogólne podenerwowanie podsycane przez radio, które nadawało jak nie muzykę, to wypowiedzi o charakterze narodowo – patriotycznym. Poza tym wyjeżdżających dokądś ludzi z mnóstwem bagaży, więcej policji na ulicach no i wojsko przemierzające się w niewielkich grupach najprawdopodobniej z jednostki, która stacjonowała na Paruszowcu (Rybnik). I tak, jak na miasto nadgraniczne, które w zbliżającej się wojnie mogło być nawet mia-

stem frontowym, to nastrój był bardzo niewojenny.

1 września 1939 r. wcześnie rano obudził mnie samolot, który kilkakrotnie przeleciał bardzo nisko nad naszymi domami, rycząc niesamowicie silnikiem. Jak już byłem na dworze, było słychać strzały karabinowe, dalekie ale wyraźne, co znaczyło, że wojna już trwa.

Na pewno było jeszcze wczesne rano, kiedy pobiegłem parę domów dalej do moich kolegów, których tata powstaniec dzień wcześniej uciekł do Żor, a im nakazał, że mają zabrać pierzynę i też uciekać w tym samym kierunku, gdzie on będzie na nich czekał. Czując niezłą przygodę, zabrałem się z moimi kolegami, pomagając im taszczyć na plecach tę nieszczęsną pierzynę, równocześnie maszerując torami kolejowymi. W swej naiwności nie zdawaliśmy sobie sprawy, że równoległe z nami tylko, że drogami idzie wojsko niemieckie. Gdy dotarliśmy do miasta, okazało się, że tam nikt na nas nie czeka, a samo miasto sprawiło wrażenie wyludnionego, po cichu oczekując na zbliżający się Wehrmacht. Dziś już nie pamiętam, kto nam doradził, że mamy się kierować na północny wschód do Palowic, bo tam ma się zbierać wojsko polskie, które będzie stawiało opór.

Do Palowic dotarliśmy w południe, już bardzo zmęczeni i spotkaliśmy aż dwóch polskich żołnierzy, którzy ku naszemu zdziwieniu wcale nie byli w nastroju bojowym, wręcz przeciwnie, zachowywali się jak prawdziwi defetyści, ciągle się dopytując, co zrobić, żeby nie spotkać wkraczających Niemców. W takiej sytuacji dalsza gonitwa za tatą była bez sensu tym bardziej, że według docierających informacji Niemcy już nas wyprzedzili. Więc po krótkim odpoczynku, ruszyliśmy z powrotem do Rybnika, pieszo z pierzyną na plecach.

Dziś, gdy wspominam ten „marsz z pierzyną”, widzę jak bardzo byliśmy lekkomyślni, pchając się w „oko cyklonu”. Następnego dnia rozpoczął się zupełnie normalnie, jakby wcale nie było pierwszego września. Wszyscy poszli do pracy, moi koledzy również. Do dziś dziwi mnie skuteczność, z jaką nowe władze potrafiły zapanować nad wszystkimi aspektami życia społecznego w tak dużym ośrodku miejskim, jakim był już wtedy Rybnik. Idąc powoli przez miasto, nigdzie nie zauważyłem nawet najmniejszych oznak anarchii czy czegoś, co mogłoby świadczyć, że wczoraj wojna przetoczyła się przez miasto.

Szybko zostałem zarejestrowany w urzędzie, gdzie mnie szczegółowo spisano i otrzymałem skierowanie do pracy w Ząbkowicach Śląskich w dużym gospodarstwie rolnym. Nigdy przedtem nie pracowałem w polu, ale w tak młodym wieku do wszystkiego można się łatwo przyzwyczaić. Poza tym nikt mnie w pracy nie wykorzystywał i warunki bytowe, jakie mi stworzono, nie były gorsze od tych, jakie mieli sami właściciele, których syn poległ podczas kampanii w Polsce. Późną jesienią w gospodarstwie zatrud-

niono również dwóch polskich jeńców wojennych na tych samych warunkach co mnie, które dla nich były lepsze od tych, jakie mieli we własnych rodzinach i zapewniali mnie, że już się nigdzie nie zamierzają ruszać. Po roku, kiedy czas mojej służby w gospodarstwie mijał, gospodarz oświadczył, że jak zostaną zalatwi mi odroczenie od wojska, a jak odejdę to zgłosi na policję, że mają mi przedłużyć pobyt. Pozornie się zgodziłem, ale wieczorem byłem już w Rybniku. Po dwóch dniach zjawiała się policja i zostałem aresztowany na parę dni. Musiałem za karę czyścić policyjne rowery, aż sprawa z robotą na gospodarstwie nie została wyjaśniona. Kolejny nakaz pracy otrzymałem do Huty Silesia, a stamtąd do fabryki elektrod w Raciborzu.

Wehrmacht

Z naszej rodziny jako pierwszy do Wehrmachtu poszedł najstarszy brat Alojzy. Dokładnie 27 lipca 1941 r. i długo się nie nawojował, bo już tego samego roku poległ w okolicach Wiaźmy w trakcie ofensywy naszych wojsk na Moskwę.

O mnie wojsko upomniało się rok później, a cała procedura związana z poborem odbywała się w komendzie wojskowej, która mieściła się w ogromnym gmachu (obecnie budynki Politechniki Śląskiej przy ul. Kościuszki), gdzie bardzo łatwo można było pobełdzać.

Na początku myślałem, że pojedę sam do Monachium, dokąd miałem skierowanie. Kiedy przyszedłem na dworzec, zobaczyłem ogromny tłum takich jak ja. Pociąg, który nadjechał, był zarezerwowany wyłącznie dla nas, a na pożegnanie grała nam orkiestra. W pociągu od razu zaopiekowali się nami podoficerowie, rozdając każdemu dwa wianki suchej kielbasy i bochenek chleba. Kawa była wystawiona w przedziałach w dużych pojemnikach i można było pić do woli. Nie zapomniałem również o opiece medycznej, na wypadek gdyby komuś trzeba było pomóc. Dziś już dokładnie nie pamiętam, jak długo trwała nasza podróż, ale na pewno nie dłużej jak jeden dzień.

Monachium, no cóż jak każde miasto, ale koszary swym ogromem porażały. Tworzyły coś na wzór miasteczka wojskowego. Jak na warunki koszarowe, mieliśmy się bardzo dobrze. Zakwaterowano nas w sześcioposobowych salach, w których byli sami Ślązacy. Stały tam parterowe łóżka, było też odpowiednie wyżywienie i brak poniżającej tresury. Raz tylko, na samym początku, miało miejsce mało przyjemne zdarzenie. Jeden z kolegów przywiózł ze sobą sporo żywności, która zaczęła się psuć rozsiwając po całej sali nieprzyjemny fetor, który w nocy został wytopiony przez dyżurnego oficera. Reakcja była natychmiastowa – pobudka, usunięcie nadpsutej żywności i ostre nocne szorowanie podłogi. Po czterech tygodniach podstawowego szkolenia, zostaliśmy przydzieleni do batalionów i rozesłani w różne miejsca Europy. Ja ze swoją jednostką trafiliśmy do północnej Francji. Tym razem zostaliśmy zakwaterowani nad samym morzem w budynkach cywilnych, z których ewakuowano mieszkańców.

Tereny były wymarzone do ostrych ćwiczeń, z jednej strony rozległe bezludne plaże przechodzące w zarośla, z drugiej morze, w kierunku którego można było pakować tyle pocisków, ile się dało bez obawy, że się kogoś postrzeli. Tam przeszedłem szkolenie w obsłudze Mg-42 i wraz z pomocnikami zajmującym się amunicją, staliśmy się obsługą tej śmiertelnej maszyny. Po dwóch miesiącach bardzo intensywnych, wyłącznie taktycznych ćwiczeń, zostałem przydzielony do 666 regimentu piechoty i wysłany do Rosji.

Ost front

Dokładnie już nie pamiętam, jak długo trwała nasza podróż, ale na pewno kilka

dni. Mijane tereny były szare, bezbarwne i piaskie. Na przyfrontowych obszarach nasz transport został wykolejony, a potem ostrzelany z okolicznych lasów, ale na szczęście nikomu nic się nie stało, a ci, którzy do nas strzelali, gdyśmy im odpowiedzieli ze wszystkich łuf, od razu zamilkli i już więcej nie próbowali nas zaczeplić. Po paru dniach biwakowania podstawiono nowe lokomotywy, przed którymi były doczepione trzy wagony z piachem, na wypadek uszkodzonych szyn czy ewentualnej próby ich wysadzenia. Po wyładunku rozpoczęliśmy marsz na linie frontu, który trwał kilka godzin. Tereny były mało zachęcające – same lasy, bagna pozbawione utwardzonych dróg.

Na krótko przed osiągnięciem linii frontu przegrupowaliśmy się z kolumny marszowej w tyralierę na wypadek nagłego ostrzału, który mógł spowodować dotkliwie straty, co się niestety wcześniej dość często zdarzało. Samo luzowanie jest operacją dość ryzykowną i trzeba mieć na uwadze, że przeciwnik wykorzystywał chwilowe zamieszanie i zaatakujecie, co i tym razem się wydarzyło, ale nie spowodowało żadnych strat po naszej stronie, bo wróg bardzo niemrawo i bez przekonania atakował, jak gdyby pozoro-
wał atak.

Po naszych zlurowanych kamratkach, odziedziczyliśmy płytkie na wół zasypane okopy i liche schrony, które trzeba było od nowa pogłębiać i umacniać tak, żeby dawały w miarę bezpieczne schronienie. Nasze stanowiska znajdowały się opodal wsi Wiasna, której część mieszkańców nadal przebywała w swoich na wół zniszczonych domostwach, a były one w gorszym stanie niż nasze umocnienia polowe. Do dziś zastanawiam się, co ci ludzie jedli i jak przeżyli zimowe chłody, a może nie przeżyli? Tego już nie wiem.

Tak się dziwnie złożyło, że moja jednostka zajmowała stanowiska na terenach, gdzie przed rokiem toczyły się ciężkie walki i to właśnie na którymś z tych pobojuwisk spoczywały doczesne szczątki mojego brata.

Obszedłem parę żołnierskich cmentarzy, ale nigdzie nie znalazłem jego mogiły. Mogłem trafić akurat nie na ten cmentarz albo jego szczątki nie zostały pochowane. Nie wiem, ale do dziś mam dyskomfort psychiczny z tego powodu.

Według naszych szacunków, stanowiska rosyjskie były oddalone od naszych o około 1 km lekko pofalowanego terenu. Dowódca naszego odcinka postanowił wysondować przeciwnika poprzez atak, który nastąpił któregoś wieczoru. Wbrew naszym oczekiwaniom przeciwnik został łatwo rozbity, ale nasz sukces był tylko połowiczny, gdy się okazało, że zdobyte przez nas pozycje to nic innego jak tylko przedpiersie, a prawdziwe umocnienia znajdują się 500 m dalej, skąd spadła na nas lawina stali, zmuszając do szybkiego odwrotu. Rosjanie funkcjonowali o wiele lepiej niż my, mając za sobą niezniszczone zaplecze, które eksploatowali bez skrupułów, co łatwo można było wynioskować po odgłosach harmonii, kobiecego chichotu i podpitych okrzyków.

Podczas jednej z moich nocnych służb, gdy siedziałem w schronie i obserwowałem przedpole w pewnym momencie zaczął mnie interesować krzaczek czy choinka, która powolutku niewielkimi skokami zbliżała się do mnie. Aby mieć pewność, że to nie jest senna mamidło, zacząłem to obserwować przez lornetkę i wtedy zauważyłem, że pod tą choinką kryje się rosyjski zwiadowca, który bardzo umiejętnie się maskując, skrył się w niewielkim zagłębieniu na tzw. ziemi niczyjej. Rano zgłosiłem to dowódcy i jeszcze tego samego dnia wieczorem ruszyłem razem z dwunastoma kolegami, aby ująć lub zlikwidować tego zwiadowcę. Na nasze nieszczęście pobełdźliśmy i jeszcze dostaliśmy się pod ostrzał sowieckiej ar-

tylerii, w wyniku czego paru kolegów zostało rannych.

Kiedyś zostałem wysłany po zupe- najadłem się w kuchni do syta i gdy wracałem z powrotem, nagle walnął moździerz. Zanim przywarłem do ziemi, jeden z odłamków przebił kanister, na szczęście dość wysoko i tylko mniejsza połowa zupy wyciekła. Gdy dotarłem do moich kolegów, zupa zamarzała i trzeba ją było dłużyć, wtedy ktoś zasugerował, żeby ją podgrzać i zaczęliśmy szukać drewna, a znaleźliśmy kopicie kartofli, których też nie można było zjeść z powodu braku wody. Ale jeszcze tego samego dnia przyszła paczka do jednego kolegi, który dzień wcześniej poległ i dowódca komisynie ją otworzył, a potem również komisynie podzielił, dzięki czemu zapachniał domem. Po Armii Czerwonej drugim naszym najgroźniejszym wrogiem były wszy, które atakowały nas z jednakową zjadłością przez całą dobę, dlatego będąc już w skrajnej desperacji, zdecydowałem się na ostateczność, rozkładając moją koszulę na zmarzniętej ziemi. Miałem nadzieję, że mróz rozprawi się z wszami i dzięki temu dadzą się bez problemu wytrzeć. A tu zaczął się ostrzał. Porzuciłem więc koszulę i schowałem się w schronie. Gdy wróciłem, na miejscu koszuli pozostał tylko lej po wybuchu.

28 grudnia 1941 r. była bardzo mroźna noc. Razem z kolegą zajmowaliśmy stanowisko przy moim Mg42, oczekując na spodziewane najeźdy sowieków. Mój towarzysz broni, usiadł na swój hełm jakies 2m za mną i próbował zapalić papierosa od zapalniczki. W tym momencie wróg zaczął ostrzał i na nasze stanowisko uderzyły dwa pociski z lekkiego moździerza. Jeden z nich ciężko ranił moją kolegę. Leżał na dnie okopy z głową zanurzoną we krwi i wylany okiem, po którym pozostała tylko straszna krwawa jama, poza tym cały był posiekany drobnymi odłamkami. Na ten widok zacząłem wrzeszczeć – „Sanitariusz!” – wlokąc go powoli w kierunku, gdzie miał się znajdować punkt sanitarny. Sanitariusz, gdy nas zobaczył, zasłabł, bo okazało się, że ja również byłem ranny w lewy policzek, o czym nie wiedziałem, ponieważ prawdopodobnie byłem w szoku, a moi koledzy mogli nie widzieć, bo miałem na głowie duży filcowy kaptur. Mojego rannego towarzysza zapakowano do specjalnych sań w kształcie kajaku i przetransportowano na tył, a mnie zaprowadzono do schronu, gdzie przeleżałem trzy dni. Najpierw wszyscy o mnie zapomnieli, zajmując się ciężiej rannymi, których lawinowo przybywało, a potem z powodu zamieszania wywołanego nagłą bojową aktywnością Rosjan. Gdy się zorientowali i mnie wyciągnęli, nikt nie wiedział, kim jestem. Całą twarz miałem zniekształconą potworną opuchlizną, pokrytą na wół zakrzepłą, na wół zamarznąłą krwią wymieszaną z ropą, która powoli wyciekała z podziurawionej twarzy. W tym wypadku niska temperatura była dla mnie korzystna, gdyż zapobiegła zakażeniu i w naturalny sposób zablokowała wypływ krwi.

Świadomość wróciła mi dopiero w pociągu sanitarnym, jadącym na zachód, a to, że byłem jeszcze wśród żywych zauważyłem dopiero w szpitalu kijowskim, gdzie młode Ukrainki sanitariuszki, rozbiły nas z tego, co jeszcze pozostało z munduru, a potem kapaly i golily żartując sobie z oznak naszej męskości.

Nie wiem, jak długo byłem w Kijowie, ale chyba nie za długo, bo pierwszą poważną operację, po której całkowicie wróciła mi świadomość, przeszedłem w specjalnym pociągu sanitarnym, który był takim szpitalem na szynach szybko zmierzającym na zachód, gdzie się jeszcze toczyło normalne życie.

Całość tekstu dostępna na stronie internetowej <http://www.jaskolkaslaska.eu/>



Niemieccy żołnierze na froncie wschodnim przelom stycznia i lutego 1944 r.



O początkach Katowic słów kilka

Odwaga i wolność



Kris Duda

– Friedrich Grundmann.

Błyskawiczny rozwój Katowic 165 lat temu zapoczątkowała decyzja, aby ich rozwojem pokierował młody i ambitny nauczyciel szkoły górniczej w Tarnowskich Górach

Efekty jego pracy były niezwykle, w ciągu 7 lat na terenie gminy pojawiła się kolej, a dwa lata później pierwszy hotel. Kiedy w latach 50-tych po śmierci Wincklera przejął w zarząd wszystkie posiadłości rodzinne, sam również podzielił się władzą z dwadzieścia lat młodszym Richardem Holtze, swoim zięciem i przewodniczącym Rady Miejskiej. Ta decyzja pozwoliła zachować szybki rozwój Katowic, które w 1865 roku, a więc w niespełna 30 lat po objęciu zarządu przez Grundmanna, otrzymały prawa miejskie.

W tym samym czasie na pograniczu Belgii i Francji na świat przychodzi kolejny wielki zasłużony dla Katowic – Anton Uthemann, który 1905 roku obejmie stanowisko Dyrektora Generalnego spółki górniczej Georg von Gische's Erben. Jego wysiłek doprowadził do rozbudowy zakładów spółki, a dla Katowic przyniósł budowę iko-

nicznych osiedli Giszowiec i Nikiszowiec, a Górny Śląsk za jego sprawą oplotła sieć torów kolei wąskotorowych.

W biznesie, inaczej niż w polityce, kiedy powierzamy komuś zarządzanie naszym majątkiem, wiąże się to nie tylko z odpowiedzialnością za powierzone mienie, ale również z ogromnym zaufaniem, które powinno iść z nią w parze. Trudno sobie wyobrazić, jak wyglądałyby dziś Katowice, gdyby nie ich twórcy – utalentowani zarządcy majątków rodziny Tiele-Wincklerów i Firmy Giesche, szeroka autonomia oraz zaufanie, jakimi obdarzyli ich mocodawcy. Sprawne zarządzanie wymaga swobody działania w ramach jasno określonych wytycznych, kierunków rozwoju, aby móc właściwie reagować na sytuację na rynku i działać nie czekając z każdą decyzją na aprobatę przełożonych.

Spoglądając jednak na historię dwudziestowiecznych Katowic, tego zaufania wydaje się z każdym rokiem ubywać, czego wyrazem stał się praktycznie jego zanik w czasach komunistycznych. System totalitarny zabił nasze poczucie wolności i swobody działania. Ostatnim, który zdawał się nie bać podejmować decyzji był Wojewoda Jerzy Ziętek, wychowany przeciwieństwie do czasów przedwojennych. Podejrzliwość i strach, które ukształtowały dzisiejsze kadry urzędnicze i po-



Katowice – lata 30. XIX wieku.

lityczne Rzeczypospolitej są największym balastem hamującym jej rozwój gospodarczy i społeczny. U polityków znajdują one wyraz w chorobliwej obawie o utratę poparcia wyborców, a wśród urzędników w totalnym lęku przed podejmowaniem decyzji. Świetnie potwierdziła to panika, jaką w kraju wywołały postulaty autonomii regional-

nej głoszonej przez Ruch Autonomii Śląska oraz polityczna awantura wokół dyrektora Muzeum Śląskiego.

Bojąc się wolności nie da się zbudować dobrego państwa. Odzyskanie swobody działania i odwagi do ponoszenia odpowiedzialności w polityce lokalnej i regionalnej, to fundament, bez którego nie uda się dokończyć

transformacji Katowic i naszego regionu. Świetnie pokazuje to dynamika wzrostu Wrocławia czy Krakowa, gdzie władze nie boją się podejmowania kontrowersyjnych decyzji.

Odwaga polityczna i cywilna powinna iść w parze z postulatem autonomii regionalnej dla Górnego Śląska i pozostałych regionów Polski.

Ślązacy znani i nieznan

Hans Bellmer



Tomasz Świdergał

Hans Bellmer urodził się w Katowicach w 1902 roku. Był synem inżyniera pracującego na Górnym Śląsku. Po zdaniu egzaminów wstępnych do berlińskiej Wyższej Szkoły Technicznej, co miało miejsce w 1923 roku, pod wpływem nacisków ojca podjął się pracy w fabryce stali oraz w kopalni węgla.

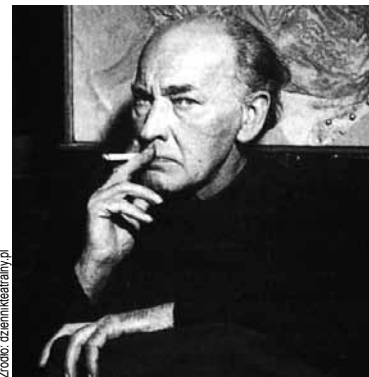
Cały czas jednak rozwijał swoje zainteresowania humanistyczne, w szczególności zafascynowało go malarstwo i rzeźbiarstwo. Swoje dzieła wyeksponował na wystawie w Polsce w latach 1922/23. W czasie studiów inżynierskich na Politechnice w Berlinie poznał Johna Heartfielda, (prawdziwe nazwisko Helmut Herzfeld, zagorzałego komunistę i twórcę politycznego fotomontażu, późniejszego założyciela wydawnictwa Malik Verlag, dla którego pracował Bellmer) Rudolfa Schlichtera i Georga Grosza, będącymi również członkami Komunistycznej Partii Niemiec, którzy zostali postawieni w stan oskarżenia za dzieła uznane przez ówczesne władze Niemiec za prowokatorskie (m.in. stworzenie kukły żołnierza niemieckiego ze świńską głową). Krag przyjaźni, jakie zawierał Hans wyraźnie odzwierciedla jego poglądy na temat ówczesnej sytuacji społeczno-politycznej panującej w Republice Weimarskiej. W 1924 roku definitywnie rzucił pracę inżynierską, rozpoczął natomiast pracę jako wydawca oraz ilustrator dla Malik Verlag. Zimą tego roku po raz pierwszy wyjechał do Paryża. Po swoim ślubie w 1928 roku z Margarete Schnell pracował, jako grafik reklamowy, uczestniczył w wykładach w Bauhaus – uczelni artystyczno-rzemieślniczej. We wczesnych latach 30 XX wieku podróżo-



Jedna z lalek autorstwa Hansa Bellmera.

wał do Włoch i Tunezji. Dla podkreślenia swojego sceptycyzmu wobec faszyzmu oraz związanej z nim estetyki i kultu per-

fekcyjnego ciała, Bellmer zaczął konstruować dziewczęce lalki naturalnej, ludzkiej wielkości, niedojrzałe seksualnie, często



Hans Bellmer.

zmutowane, które fotografował w erotycznych, niekonwencjonalnych pozach. Niektóre z tych prac pokazał na wystawie w 1934 roku, którą zorganizował na własny koszt. Inne ukazały się w surrealistycznym dzienniku „Le Minotaure”, wywołując wielkie poruszenie i utwierdzając pozycję Bellmera, jako jednego z głównych przedstawicieli surrealizmu. Druga seria ukazała się w 1938 roku, pełniła ona funkcję ilustracji do wierszy Paula Eluarda w magazynie „Messages”. W tym samym roku w Berlinie anonimowo wydał własnym nakładem książkę „Lalka” zawierającą czarno-białe fotografie lalek zaaranżowane w serie „żywych obrazów”.

Po dojściu do władzy nazistów sztuka Bellmera uznana została za zdegenerowaną. W 1938 po wielu szykanach Bellmer opuścił Berlin i wyemigrował do Paryża, gdzie przyłączył się do paryskich surrealistów. Po zakończeniu kampanii francuskiej został internowany razem z Maxem Ernstem, również dadaistą i komunistą, w obozie „Les Mile” w pobliżu Aix en Provence. Będąc na zwolnieniu z obozu wyrzekł się niemieckiej narodowości i w 1941 roku uciekł do Castres (Francja). W tym samym roku poślubił swoją drugą żonę. W czasie

lat wojennych wykonywał swoje rysunki rozwijając charakterystyczny, odrębny styl. W 1943 roku zaprezentował swój pierwszy jednoosobowy spektakl w „Librairie Trentin” (księgarnia w Tuluzie). Występ ten zapoczątkował falę wykonywanych później pokazów przez wiele międzynarodowych grup surrealistycznych. W okresie powojennym Bellmer odniósł sukcesy w tłumaczeniu podświadomego aspektu seksualności w halucynogennych, upojnych rysunkach snów pracując z precyzją starych mistrzów i wkrótce połączył ten nurt z manierystycznymi wpływami i pięknem, które określili Jugendstil/ArtNouveau. W dojrzałych późnych pracach Bellmera linia ta jest udoskonalona jako wzór, w którym erotyczność jest nawet propagowana, częściowo dlatego, że śmierć jest traktowana jako przeciwieństwo pożądania. Hans Bellmer zmarł w lutym 1975 roku pozostawiając rysunki, fotografie, obrazy olejne, druki, w których reprezentuje obsceniczną ekspresyjność, jako rebelię przeciwko konwencjonalnemu społeczeństwu, racjonalizmowi i duchowi czasów, w których żył. Jako współodkrywca ruchu Fantastycznego Realizmu wywarł ogromny wpływ na Paula Wunderlicha – niemieckiego surrealistę i twórcę erotycznych rzeźb oraz Horst Jansena – niemieckiego malarza, i grafika XX wieku, których prace wyraźnie nawiązują do filozofii Art Nouveau. Bohater tego artykułu jest bez wątpienia najwybitniejszym śląskim autorem surrealistycznym, o którym pamięć przez lata była zatarta. Dziś jego twórczość także nie jest powszechnie znana, o czym może świadczyć szczupłość źródeł. Miejmy nadzieję, że władze Katowic nadadzą mu właściwe miejsce wśród znanych mieszkańców tego miasta. Na zakończenie chciałbym podziękować Hannie Rumpfelt za wielką pomoc przy pisaniu tego artykułu.



Koło dziejów Kołodzieja

Narodowe pranie

Kiedy w roku 1980 na stoczniowej bramie wywieszono tablice, na których wypisano 21 postulatów – społeczeństwo mówiło jednym głosem. Tylko władze zaczynały robić w przysłowio- we gacie, bo oto rodziła się demokracja.

Ostatecznie socjalizm przeszedł do niechlubnej historii. Teraz jesteśmy poddawani swoistemu praniu mózgow, na co wskazuje widoczna bierność społeczeństwa, niemal kompletny brak zainteresowania udziałem w demokratycznym sprawowaniu władzy. Bo głos w wyborach oddajemy w sumie na listę, wypełnioną nieudacznikami i karierowiczami. Ciągłe żywe jest pojęcie „koryta”, skutkiem czego wyborcza frekwencja oscyluje koło połowy uprawnionych. Wmawia się nam, że powinniśmy dumnie dzierżyć w dłoniach biało-czerwone flagi, wychwalać wiekopomne czyny narodowych bohaterów, pielęgnując narodową tożsamość. Wielu prezentuje nawet przykład oczekiwanego postawy, bo to im się po prostu opłaca. To członkowie ogólnopolskich partii, sownie finansowanych z centralnej kasy. Od dołu wygląda to zupełnie inaczej. Dla ogółu społeczeństwa nie ma ani dobre-

go prawa, ani prawdziwej sprawiedliwości. Platformie Obywatelskiej z obywatelskości pozostała jedynie nazwa, a zdobytą wolność jej rządy zamieniły w potężne zadłużenie całego kraju. Stoczniowe postulaty są już tylko ironicznym wspomnieniem tego, co naszych władcy wprowadziło na salony. Bo tamta siła społecznego sprzeciwu została skutecznie zneutralizowana poprzez wspomniane na początku pranie mózgow. Czasem ludzie zdolni są jeszcze do sprzeciwu, organizując referenda, ale właśnie prezydent zamierza to ukrócić ustawodawczą inicjatywą, znacznie wymagania wobec organizatorów obostrzając.

Na zmore centralizmu jest tylko jedno lekarstwo – autonomia regionów. Władza powinna być dużo bliżej obywatela niż jest teraz. Tylko wtedy wyborcy będą mogli mieć realny wpływ na jej sprawowanie, oraz na zgodne z ich potrzebami wydawanie pieniędzy z podatków. Bo pomimo wielu już „reform”, którymi zostaliśmy dotknięci, jest coraz gorzej. Rząd Donalda Tuska doprowadził społeczeństwo do ruiny, a kraj do przepaści. Sprzedano niemal wszystko, co przynosiło dochody. To powinno być traktowane jako zdrada stanu.

Tymczasem administracja rozrasta się do monstrualnych rozmiarów, a środków na zaspokojenie jej finansowych oczekiwań poszukuje się tradycyjnie w naszych kieszeniach. Państwo jest dla obywatela? Coraz więcej zadań spychanych jest na samorządy, pod płaszczykiem przekazywania kompetencji. Oczywiście bez środków finansowych – te mają zdobywać sobie same, choćby wprowadzając całonocne opłaty za parkowanie na ulicach. Minister finansów lawiruje na granicy prawa, usiłując załatwić stworzoną przez swoją partię dziurę w budżecie. I z tymi właśnie zjawiskami musimy walczyć, starając się o autonomię. Nie brakuje jednak ludzi, którzy ciągle widzą szanse poprawy sposobami dotychczasowymi. Mariusz Urbanek na łamach DZ kręci się nawet za własnym ogonem, w dodatku obśmiany przez czytelników. Spłodził artykuł zatytułowany „Dlaczego Śląsk pod rządami RAS nie został Bawarią”. Prosta odpowiedź po prostu nie mieści mu się w głowie: bo tu nie ma bawarskiej autonomii. A RAS tu nigdy nie sprawował rządów.

Patrząc historycznie, rozwój Śląska dokonywał się do roku 1939. Najpierw inwestowali miejscowi prze-

mysłowcy i arystokraci, potem autonomiczny Skarb Śląski. Wycieczki z reszty kraju przybywały podziwiać nasze drogi i budowle. Od roku 1945 to już tylko powolny upadek. Emigracja, degradacja środowiska, wyprzedź majątku i śmierć setek zakładów przemysłowych.

Centralne zarządzanie poniosło spektakularne fiasko. Wszelkie próby odbudowy tożsamości regionalnej usiłuje się mieszkańcom Śląska obrzydzać, bo motłochem bez własnych przekonani łatwiej jest sterować, by strumyk podatków płynął we właściwą stronę.

Niedawno przywróciliśmy społecznej świadomości sylwetki śląskich noblistów. Nie mamy na Śląsku żadnych podstaw ku temu, by się ich wstydzić. Dlaczego polskie



programy nauczania o nich nie chcą pamiętać? Dlaczego programy nauczania wręcz wstydzają się pokazać go grona innych noblistów? Czyżby jako Żydzi lub Niemcy nie pasowali do doktryny? A centralno-historyczna narracja, jak w przypadku Muzeum Śląskiego musi być krystalicznie polska? Nawet ze szkodą dla Polski.

Jan Kołodziej

Babskim okiem

Na pożegnanie

Całkiem niedawno wielki „ktoś” uświadomił mi dwie bardzo ważne rzeczy. Po pierwsze, Warszawa to nie kraina mlekiem i miodem płynąca za jaką uchodzi, po drugie społeczeństwo osób starszych w Polsce, bądź co bądź, ale nie istnieje.

Utopiii nazywanej Warszawą, jaką wykreowali sobie ludzie, tak naprawdę nie ma, a jeżeli jest, to przy województwie śląskim wypada bardzo błado. Stworzyli ją ludzie, którzy jeszcze przed otwarciem granic wyjeżdżali do stolicy za „lepszym życiem”.

Dziś za „chlebem” wyjeżdżamy na Wyspy bądź do Skandynawii, bo język przestał być barierą, kiedy na każdej przecznicy spotyka się rodaków, a odległość za sprawą Internetu i tanich linii lotniczych wydaje się nie być tak duża.

Warszawskie życie przestało zachwycać, kiedy okazało się, że jego jakość nie idzie w parze z zarobkami. O tym, że w stolicy aglomeracji Śląska – zaraz po Warszawie – zarabia się najlepiej w Polsce, rozpisywała się już niejedna gazeta. Katowice nie raz mieściły się w ścisłej czołówce rankingów Newsweeka miast, w których zarobki są najwyższe, ale nikt jeszcze nie zestawił tych zarobków z biletem autobusowym, bochenkiem chleba, litrem paliwa, odstępnym za wynajem mieszkania, nie wspominając o cenach za kulturę i rozrywkę. Szkoda tu miejsca na matematyczne wylizanki, ale nie trudno się domyśleć, że koszt życia w stolicy jest przynajmniej dwukrotnie wyższy niż na Śląsku, co ma się nijak do dwukrotnie wyższych „warszawskich” zarobków. Potencjał, bogactwo i siła naszego regionu, a szczególnie ludzie stąd pocho-

dzący, nauczeni ciężkiej pracy, dali się poznać już niejednemu przedsięwzięci. W naszym województwie działa wiele firm, które już dawno postawiły na Śląsk, a warszawskie adresy nie wiedzieć czemu lansują się tylko na wizytówkach i tablicach rejestracyjnych samochodów. Nie można tu nie wspomnieć o pieniądzach, które co miesiąc bezpowrotnie uciekają nam przez palce i zamiast inwestować we własny region, łatamy dziury budżetowe skarbu państwa. Osobiście czuję się z tą myślą „okradzioną”.

Szczęścia w stolicy przestali już szukać nawet studenci, którzy całą swoją młodość snuli plany ucieczki do wielkiego, lepszego świata. Kiedy okazuje się, że miesięczna pensja nie wystarcza na pokrycie czynszu, stancji za mieszkanie i biletu miesięcznego, a wykształcenie, które stało się dziś powszechnym standardem, zaczęło tracić na wartości, młodzi zaczęli szukać innej alternatywy, która pozwoli im utrzymać gdzieś indziej.

„Cudze chwalicie swego nie znacie”! Czas najwyższy przerwać warszawską pępowinę i zacząć pracować nie dla kogoś tylko dla siebie.

Czas najwyższy również zacząć dostrzegać tych, którzy kiedyś zrobili dla nas znacznie więcej niż ktokolwiek inny dzisiaj. Mowa tu o wspomnianych przeze mnie na początku, lecz przez większość nie dostrzeganych lub zapomnianych osobach starszych. Mam wrażenie, że zamiast uczyć się od starszych, uważamy się za mądrzejszych od ich doświadczenia życiowego. Niestety nie ma się tu nad czym rozpisywać, bo polityka społeczna wobec osób starszych tak naprawdę nie istnieje, omijana i zapomniana



przez wszystkich jak sama ich społeczność. Osoby starsze to ludzie niezauważani, gdzie się podział szacunek? Kto dziś pamięta o dobrych manierach? Przepuszczanie w drzwiach, ustąpienie miejsca w kolejce, autobusie czy tramwaju? Kogo dzisiaj na to stać? Niewielu. Znacznie lepiej wychodzi okradanie „na wnuczka”, dziedziczenie domów i mieszkań po dziadkach czy naciąganie na szybkie kredyty. Jeżeli sytuacja szybko się nie zmieni to jeszcze szybciej niż nam się wydaje ktoś, kiedyś tak samo będzie traktował nas. Starsi ludzie sami o siebie nie zawalczą, bo i po co, skoro bezinteresownie nikt już o nich nie pamięta?

Zostawiam Was drodzy czytelnicy z tą myślą, bo to już mój ostatni felieton. Było mi bardzo miło przez ostatnie dwa lata gościć na łamach tego magazynu. Idea autonomii jest mi bardzo bliska i mocno wierzę w jej sukces. Jak bardzo? Na pewno jeszcze nie raz pod moim nazwiskiem będziecie mieć okazję o tym przeczytać. Życzę Państwu wielu sukcesów, siły i wiary w to, że się UDA szybciej niż nam się wydaje. Dziękuję moim Czytelnikom za wszystkie ciepłe słowa, które od Państwa usłyszałam i życzę szczęśliwego finału odzyskania niezależności regionalnej.

Aleksandra Smolak

Laik o ekonomii

Czasym cza iść po fehcie

Do członków RAS i wszystkich sympatyków nieudawanej a rzeczywistej samorządności o pozyskiwaniu środków w polityce.

Nie mam zamiaru udawać Greka i robić „ściemy”. Powiem wprost – chodzi o kasę – nie dla mnie i nawet nie dla konkretnego kandydata na jakieś wybieralne stanowisko. Swego czasu mieszkańcy ziemi śląskiej przelewali krew za autonomię dla Śląska. Dziś nikt nie wymaga, abyśmy dali z siebie wszystko, ale jak mawiał Cezar Francuzów – by wygrać batalię są potrzebne trzy rzeczy: kasa, kasa, kasa. W odróżnieniu od ogólnopolskich partii nie dysponujemy kasą z podatków. Teoretycznie jest możliwość pozyskania bogatego lub kilku bogatych sponsorów na sfinansowanie kampanii wyborczej, ale w tym wypadku oznacza to uzależnienie nas od „darczyńców” (cudzoziemców jest zamierzony – autor nie wierzy w darmowe obiady), a wtedy interes Śląska staje się w najlepszym wypadku drugoplanowy. Jako „gyszeftman” zdaję sobie sprawę, że lepiej dostać od 1500 ludzi po 5 zł niż od jednego 1500. Korzyść z takiego rozwiązania jest potrójna. Dostaje się 7500 zł a nie 1500. Nie ma osoby, RAS musiałby w szczególności być wdzięcznym. Chcąc być lojalnym wobec sponsorów, RAS musi być lojalny wobec wyborców.

Reasumując, proszę tych, którym nie obojętny jest los Śląska o wpłacanie zgodnie z obowiązującym prawem tyle ile Was stać i dobrze by było byćcie zaangażowanymi, na jaką konkretnie akcję przeznaczyć darowizny – liczy się każda złotówka. <http://autonomia.pl/n/wspomoz-nas>

W badaniach politologicznych przeprowadzonych przez Uniwersytet Śląskich Ruch Autonomii Śląska jest uznawany za to stowarzyszenie, które najlepiej dba o interes regionu. Jeśli chcesz, aby przedstawicielami regionu byli ci, którzy o Śląsku po śląsku mówią, Śląsk stawiają na pierwszym miejscu, Śląskowi przajom, pomóż w nieusta-



jącej kampanii wyborczej, w której uczestniczymy poprzez takie akcje jak „Górnośląski Tacyt, Tyta dło Pырszoka, różnego rodzaju manifestacje, happeningi i marsze. Jest kilka sposobów, aby reprezentowali nas ludzie ideowi, bezkompromisowo oddani naszemu ślonskiemu regionowi.

Tylko z Twoją pomocą jesteśmy w stanie przekonać Twoich przyjaciół i znajomych, by zechcieli przyjść na wybory i zagłosować na kandydata Ziemi Śląskiej. W wyborach liczy się każdy głos. W wyborach nie jesteśmy skazani na brak alternatywy wobec PO i PiS, tych centralistycznych i wrogich wobec autonomii „przyjaciół”, którzy zadowolają siebie robieniem „show w centrali” za nasze pieniądze. Czas myśleć regionalnie, głosować regionalnie.

Nasi kandydaci finansowani są wyłącznie z darowizn naszych sympatyków i swoich własnych środków, więc dysponujemy mniejszym budżetem niż partie centralne. Liczy się każda kwota. Ostatnio jest prowadzona ożywiona dyskusja, jak zdobyć znaczące środki na najbliższą kampanię do sejmiku. Niektórym wydaje się, co wystarczy, by kandydat dał znaczną sumę na swoją kampanię, a do wyborów mógł nic albo prawie nic nie robić i do niczego się nie dokładać i tu jest błąd. Wszystkie nasze dotychczasowe sukcesy były oparte o działania długofalowe i pracę u podstaw z ludźmi. Jeśli teraz postawimy na wysokie wpłaty kandydatów i ich nierobstwo przez lata to nie wróżę nam sukcesu. A przecież naszym celem jest autonomia i to już w 2020 r.

Lyjo Swaczyna



Bytom - zaproszenie

Gōdka zamiast slangu

Ostatnią premierą minionego sezonu w Operze Śląskiej w Bytomiu był musical *My Fair Lady*. Prapremiera tej muzycznej wersji słynnej sztuki George'a Bernarda Shawa miała miejsce na Broadwayu w 1956 roku. Nieco starsi czytelnicy być może kojarzą ten tytuł bardziej z filmową adaptacją musicalu z 1964 roku z Audrey Hepburn w roli głównej. Nie wszystkim było dane obejrzeć ten nagrodzony ośmioma Oskarami film, ale wszyscy zapewne chociaż raz słyszeli przebrój *Przetńczyć całą noc pochodzący z tego właśnie musicalu*.

Do konfrontacji z tym wyzwaniem muzycznym i reżyserskim zdecydował się stanąć Robert Talarczyk, który swoim dorobkiem miał już spektakle muzyczne ale nie musicale. Po współreżyserii *Cholonia* w Teatrze Konez oraz adaptacji Piątej strony świata w Teatrze Śląskim twór-

ca ten stał się znaczącą postacią wśród uczestników górnośląskiego dyskursu regionalnego. Niewątpliwie dyrektor Opery Śląskiej Tadeusz Serafin i kierownik literacki Tadeusz Kijonka wykazali się artystyczną fantazją i obywatelską odwagą, sugerując Robertowi Talarczykowi śmiało sięgnięcie po gōdkę śląską. Trzeba od razu stwierdzić, że gōdka śląska zamiast slangu z *Lisson Grove* jest przemyślane wplecionym wątkiem nie zaś dominantą inscenizacji. Dzięki temu nie zostało zatracone zasadnicze i uniwersalne przesłanie sztuki Bernarda Shawa – wszak pogoń za mitami towarzyszy ludzkości od zarania i jest jednym z impulsów jej rozwoju. Dobrze więc się stało, że Bytom czy Radzionków nie zastąpiły wiktoriańskiego Londynu. Scenografia, jak i kostiumy (także z dowcipnymi aluzjami regionalnymi) nie pozwalają widzom zapomnieć, gdzie autor umieścił akcję tej sztuki. Gdy główna bohaterka na tle lon-

dyńskich dekoracji wypowiada kwestie gōdką (Anna Nowoczyn robi to w sposób cudownie naturalny) to wszyscy widzą, że są w stanie uwierzyć, że współczesne młode śląskie dziewczyny też marzą o swoim *Pigmalionie-Higginsie*. Przekonanie widowni o tym jest chyba prawdziwym sukcesem bytomskiej premiery.

Musical *My Fair Lady* zdaje się być już teraz jednym z faworytów najbliższej edycji konkursu o nagrodę „Złotej Maski” i to w kilku kategoriach. Gdy artyści Opery Śląskiej po wakacyjnych podróżach koncertowych wrócą na macierzystą scenę, warto zainteresować się planami repertuarowymi tej zasłużonej dla kultury śląskiej instytucji. Spędzenie jednego z jesiennych wieczorów w pięknym bytomskim gmachu i przekonanie się samemu jak wiele subtelnych i uniwersalnych refleksji można wyrazić gōdką, warto jest zachodu.

Roman Herrmann

Gliwice - relacja

„Autonomia, nie separatyzm”

13 czerwca odbył się w Gliwicach wykład Przewodniczącego RAS - dra Jerzego Gorzelika, którego temat brzmiał „AUTONOMIA, NIE SEPARATYZM”.

Spotkanie miało na celu wytłumaczenie wszystkim słuchaczom zasadniczych różnic między samorządnością a oddzieleniem. Przewodniczący przedstawił naukowe fakty i przypadki z historii, opowiadał o tym, kiedy rodzi się w świadomości mieszkańców chęć posiadania autonomii terytorialnej ich regionów, a kiedy można mówić o, niekiedy niebezpiecznym, separatyzmie. Na spotkanie przyszło ok. 100 osób.

Na uwagę zasługuje fakt udostępnienia nam na czas trwania wykładu sali w przykatedralnym Centrum Edukacyjnym im. Jana Pawła II w Gliwicach, które należy do Kurii Biskupiej oraz sprzeciw, z jakim spotkała się ta decyzja. Członkowie Klubu Gazety Polskiej próbowali w oficjalny sposób zbojkotować nasze spotkanie oczerniając Stowarzyszenie przed Biskupem. Na samo spotkanie wybrali się jednak w nielicznej grupie, a merytorycznością wykładu zdawali się być na tyle poruszeni, że trudno było usłyszeć z ich strony pytania dotyczące idei autonomii i porównywanie jej z separatyzmem.

Szymon Koziol

Literatura

Guido – skandalista

Niedawno do księgarń trafiła książka pióra Krzysztofa Lewandowskiego „Guido Henckel von Donnersmarck. Życie skandalisty”.

Jest to druga z serii beletryzowanych biografii wielkich Górnoślązaków autorstwa tego pisarza. Pierwsza, wydana w 2010 r., zatytułowana „Zostać milionerem według Karola Goduli” opowiadała o losach innego wielkiego przemysłowca. Najnowsza opowiada o człowieku zaliczanym do najbogatszych Europejczyków swoich czasów, który dzięki niepospolitemu biznesowemu talentowi i chęci inwestowania w górnośląską ziemię, stworzył fortunę, o jakiej wielu mogło jedynie marzyć. Tworząc swoje imperium, zmienił ob-

Relacja

Tegoroczne Tacyty rozdane

6 czerwca w Galerii Szyb Wilson w Katowicach już po raz siódmy rozdano Górnośląskie Tacyty – nagrodę im. ks. Augustyna Weltzla ustanowioną przez Ruch Autonomii Śląska, a przyznaną w kategoriach „badacz historii” i „popularyzator historii”.

W tym roku uhonorowano dwie znakomite osoby zajmujące się badaniem zagadnień górnośląskich, a jednocześnie popularyzowaniem wiedzy o regionie. Laureatką w kategorii „badacz historii” została dr hab. Irma Kozina za książkę „Ikony dizajnu w województwie śląskim”, zaś w kategorii

„popularyzator historii” laureatem został pośmiertnie dr Michał Smolorz za pracę „Śląsk wymyślony” oraz za cały dorobek popularyzujący szeroki wachlarz zagadnień dotyczących Górnego Śląska. Laudacje wygłosili prof. dr hab. Barbara Szczyńska – Gwiazda oraz dr hab. Zbigniew Kadłubek, a nagrodę w imieniu zmarłego niedawno dra Michała Smolorza odebrała żona – Grażyna Smolorz. Galę uświetnił koncert polsko – fińskiego duetu akustycznego, a dyskusję po wręczeniu nagród poprowadził redaktor naczelny „Nowej Gazety Śląskiej” – Jarosław Gibas.

Red.



Dr hab. Irma Kozina podczas odbierania gratulacji z rąk radnego RAS dra Henryka Mercika.

Red.

Chorzów - relacja

Kolejny Turniej Piłkarski RAS Chorzów za nami

Kolejne trzydniowe zmagania w Turnieju Piłkarskim o Puchar RAS odbyły się w dniach 16-18 maja. 16 maja pierwsze do rozgrywek przystąpiły przedszkolaki 8 zespołów, rozegrały mecze w hali MORiS. Zmagania, a jednocześnie dobra zabawa zakończyły się sukcesem dla Przedszkola nr 25, drugie miejsce zajęło Przedszkole nr 23, zaś trzecie Przedszkole nr 27.

Turniej szkół podstawowych (drugiego dnia w tym samym miejscu), w którym wystąpiły cztery drużyny zakończył się sukcesem młodszej grupy z SP nr 24 i grupy starszej z SP nr 25. Kolejny dzień zmagania piłkarskich odbył się w sobotę 18 maja na boisku przy ul. Filarowej, gdzie bój toczyły drużyny seniorów. Do turnieju zgłosiło się 10 drużyn. Kiedy seniorzy zacięciem walczyli, ich pociechy mogły brać udział w różnych grach i zabawach zorganizowanych dla nich obok boiska. Zdobywały też nagrody za udział w konkursach. W finale spotkały się drużyny RAS Mysłowice i Bar Dziesiona z Chorzowa. Finał wygrała drużyna RAS Mysłowice, drugie miejsce Bar Dziesiona Chorzów, a trzecie przypadło drużynie RAS Ruda Śląska. Drużyna gospodarzy RAS Chorzów Stary, która w poprzedniej edycji zajęła drugie miejsce,



Drużyna RAS - Chorzów Stary.

uplasowała się tym razem na piątej lokacie. Najlepsze zespoły wszystkich trzech imprez otrzymały medale i puchary ufundowane przez prezydenta miasta. Były też wyróżnienia indywidualne w postaci piłek i słodyczy. Nagrody wręczali m.in. poseł na Sejm RP Maria Nowak, prezydent Chorzowa Andrzej Kotala i dyrektor MORiS Alina Zawada. Jednocześnie podziękowania należy złożyć sponsorom, bez których zorganizowanie turnieju byłoby trudne, a są to: Prezydent Miasta Chorzów, MOSiR Chorzów, firmy „MAREX”, „HANYSEK”, „Barbara Kilos-Felit”, „Zajazd Batory”, „Andrzej Piecha”, „ADM Chorzów”, „Tramwaje Śląskie”, „INTOBAT”, ChSPWiK Chorzów oraz inni sponsorzy, którzy przyczynili się do zorganizowania imprezy. Wszystkim drużynom dziękujemy za udział i mamy nadzieję, że w przyszłym roku impreza także dojdzie do skutku.

Marian Skalbani

Świętochłowice - relacja

700-lecie powstania Świętochłowic

Podobnie jak w Chorzowie, w Świętochłowicach także zorganizowano Święto Miasta. W tym roku okazją była szczególnie, ponieważ przypadła 700 rocznica pojawienia się nazwy Świętochłowice w źródłach. Na dokumencie z 25 maja 1313 r. pochodzącego z kancelarii biskupa krakowskiego Jana, jednym ze

świadków tego dokumentu był Andrzej ze Świętochłowic – sędzia bytomski. W zorganizowanym tego roku korowodzie udział wzięły dwa lokalne oddziały górnośląskich organizacji – koła RAS i SONŚ, prezentując swoje banery i rozdając górnośląskie fanki, co podobalo się szczególnie najmłodszym.

Red.

Sprostowanie

Sprostowanie do artykułu Tomasza Jareckiego: „Śląski Kościół trzeciego tysiąclecia”

Od kilku lat RAS Mysłowice uczestniczy w swoich mszach w tym kościele, z intencją: o zdrowie i pomyślność dla mieszkańców Górnego Śląska.

Msze odbywają się każdego 22 dnia miesiąca, a ten 22 to upamiętnienie dnia śmierci (22.10.1948r.) kardynała Augusta Hlonda – mysłowiczana, który ochrzczony był w tej historycznej świątyni.

Niestety, już od ponad roku nie wygłasza tu kazań ks. Arek Sitko, gdyż

przebywa w parafii werbistów w Nysie. Homilie po śląsku głosił również (też werbista) ks. Joachim Zok, lecz i on został przeniesiony z Bytomia gdzieś na Pomorze. Nie oznacza to, że tradycja upadła i kazania po śląsku nie są wygłaszane. „Ubraliśmy” w temat młodego wikarego tej parafii, a przypadku jego absencji mamy jeszcze kilku księży, którzy robią to wspaniale. Przyznajemy, że ksiądz Robert Chudoba z jego wspaniałymi homiliami też jest gościem na naszych mszach.

Janusz Macek - RAS Mysłowice

Świętochłowice - zapowiedź

Stowarzyszenie „Dwie Wieże”
ZAPRASZA NA:
PIKNIK INAUGURACYJNY

Miejsce: Parafia Ewangelicko - Augsburska w Świętochłowicach
Czas: 29.06.2013r. godz.: 14:00 do zmroku

Program:
od 14:00 - Zwiedzanie Kościoła
15:00 - Śląskie kino w namiocie
16:00 - Gry i zabawy z nagrodami dla dzieci

18:00 - KONCERT:
- Marek „Makarun” Motyka
- Highway Acoustic Trio
- Ryszard Szczepanek
- Marcin Copik Freak Guitar

22:00 - ILUMINACJA WIEŻ SZYBOWYCH BYŁEJ K.W.K. „POLSKA”

PRZEZ CAŁY CZAS TRWANIA IMPREZY WYSTAWA MALARSTWA
JAROSŁAWA KASSNERA I RYSZARDA SZCZEPANKA

SPATRONI MEDIALNI:
Śląska JASKÓŁKA ŚLĄSKA

PARTNERZY:
OS GCR

ORGANIZATORZY:
PARAFIA EWANGELICKA W ŚWIĘTOCHŁOWICACH

Transport i komunikacja

Jak zwijają Koleje Śląskie



Lech Kozarzewski
Niedawno przeprowadziłem się wraz z rodziną do Podlesia na południe Katowic. Gdy szukaliśmy odpowiedniego miejsca, ważnym kryterium była wygoda dojazdów do centrum miasta, z uwagi na szkoły i pracę. Chcieliśmy być w zasięgu komunikacji publicznej, bo nie zawsze można pojechać autem.



Elektryczny zespół trakcyjny Kolei Śląskich – 27WEb-003 – na stacji kolejowej Katowice, peron 3, odjedzie do Częstochowy.

Początkowo zakładaliśmy poruszanie się autobusami, jednak okazało się, iż trasa autobusu jest tak niedogodnie ustawiona, że jedzie on ok. 50 minut. Drugą i jak się z czasem okazało, lepszą możliwością było dojeżdżanie pociągiem. Czas przejazdu pociągiem to ok. 18 minut, w dodatku pociągi kursowały często, więc szybko stały się dla nas podstawowym środkiem komunikacji. Dzięki temu auto mogło stać sobie więcej w garażu, a my płaciliśmy wprawdzie za bilety, ale zaoszczędzaliśmy na benzynie i czasie.

Jednak nasi „wojewodarze” wytyczyli inną drogę (ro)zwijania komunikacji publicznej. Niedawno ogłoszony został tzw. Program naprawczy Kolei Śląskich. Raczej nazwałbym go programem ich samolikwidacji. Deklarowanym celem jest poprawa sytuacji finansowej Kolei Śląskich. Jeżeli tak, to jak wytłumaczyć ponadprzeciętne likwidowanie połączeń o najwyższej frekwencji, a pozostawianie połączeń, którymi mało kto jeździ. Policzymy to na przykładzie tej linii, która mnie

najbardziej interesuje, jest to tzw. linia S4 Tychy-Sosnowiec. To jedna z czołowych linii w regionie pod względem frekwencji pasażerów. Przed „rzezią” połączeń pociągi w stronę Katowic odjeżdżały 36 razy na dobę. Można powiedzieć, że kursowały w miarę regularnie co 30 minut. Po zmianach pozostało 19 odjazdów do Katowic w ciągu doby, odjazdy są zazwyczaj co 60 min., nie ma żadnego zwiększenia częstotliwości w godzinach szczytu. Za to pomiędzy 10 i 12 jest dwugodzinna przerwa. Jak łatwo policzyć, ilość połączeń na tej linii została zredukowana o 47%, podczas gdy oficjalnie podana średnia ogólna redukcji wynosi 31%. Nie trzeba być geniuszem matematycznym, żeby zauważyć, że skoro linia o większej frekwencji została ponadprzeciętnie zredukowana, to oznacza, że inne linie o mniejszym „obłożeniu” zostały zredukowane mniej. Czyli w większym stopniu pozbyto się wpływów z biletów

niż zredukowano koszty. Pozostaje dla mnie zagadką, jaki z punktu widzenia poprawy sytuacji finansowej kolei sens, mają takie posunięcia.

Według rzeczownika KŚ przy decyzjach o likwidacji połączeń kierowano się m. in. chęcią zachowania jak największej liczby połączeń w godzinach szczytu. Nie wiem, jak to należy rozumieć, bo na linii S4 niczego takiego nie widać. Wręcz przeciwnie, trzy ostatnie pociągi kursujące w nocy pozostały bez zmian, natomiast pociągi poranne zostały zredukowane o połowę.

Truizmem jest stwierdzenie, że w dużej aglomeracji lepiej mieć sprawny transport publiczny niż korki i zapchane autami centra miast. Wobec gęstej na Górnym Śląsku sieci kolejowej naturalne wydaje się wykorzystanie w pierwszym rzędzie pociągów, potem tramwajów, a następnie autobusów. W praktyce jest jednak dokładnie odwrotnie: koleje są w zaniku, linie tramwajowe się likwiduje (jak w Gliwicach) lub ich nie rozwija (Katowice), a połączenia autobusowe układa tak, żeby nie były zbyt dogodne. I na końcu mieszkańców pozostają tylko własne samochody.

Wniosek, jaki płynie z tych obserwacji jest taki, że dla obecnych władz województwa pasażer to ktoś, kogo istnienie przeszkadza w sprawnym funkcjonowaniu kolei.

Opinia

Bytomski „Bul”



Tomasz Jarecki

Trudno nie zauważyć szczególnej miłości, jaką prezydent Komorowski darzy Górny Śląsk. Przy każdej możliwej okazji wizytował on nasz region, jednakże miejsca, w których był,

uparcie znajdowały się poza sercem Górnego Śląska – a to Bielsko-Biala, a to Cieszyn, itp. itd. Ostatnio jednakże postanowił przerwać pasmo objazdowych wycieczek po mniejszych miastach i raczył odwiedzić Piekary Śląskie oraz Bytom, ku nieopisanemu radości mieszkańców.

W Piekarach Pan Prezydent powiedział, iż cieszy się, że jest w tym miejscu, gdzie najlepiej słyszą i gdzie najlepiej można wyczuć rytm Śląska, po czym pojechał do Bytomia. Jako, że jego rozeznanie w faktycznych śląskich sprawach jest co najwyżej nikłe, sprostujmy: pomyliło się Panu, Panie Prezydencie. Aczkolwiek nieznanie. Najlepiej rytm Śląska czuć w Bytomiu – bo jest on modelowym przykładem tego, jak polskie gospodarstwo zarządza nasz region. Parafrazując metaforę o zegarku – w prezencie, który od „onkła” Stalina dostała Polska, Bytom był złotym łańcuszkiem. I tenże łańcuszek został zniszczony w pierwszej kolejności.

Rozważania tożsamościowe na bok, spójrzmy na to miasto chłodnym, ekonomicznym okiem. Dziw-

nym zbiegiem okoliczności na okres, kiedy miasto było zarządzane przez Niemców, przypadają jego najświetniejsze lata. Jeszcze wiek temu Bytom był okoliczną potęgą – zawsze była tu praca, kultura, rozrywka – jednym słowem, czego byś nie potrzebował, w Bytomiu mogłeś to dostać. Dzisiaj jest zupełnie odwrotnie – czego byś nie szukał, w Bytomiu tego nie znajdziesz. Piszę to z wielkim „bulem”, ale moje miasto umiera. Dlatego właśnie tak wielką frustracją napawa mnie fakt, że Prezydent państwa, które od ponad 70 lat rujnuje moje miasto i trzeba mu przyznać, robi to z morderczą skutecznością – pojawia się w nim i z dumą ogłasza, że Bytom, tak jak i Śląsk, jest odwiecznie polski. Na szczęście tak nie było, a zaryzykuję stwierdzenie, że gdyby Bytom był polski chociaż 50 lat dłużej, to by go nie było. Idealem przykładem zmiany gospodarza jest bytomski dworzec kolejowy – w Reichu jeden z kilkunastu zadaszonych dworców (a drugi na wschód od Berlina), w Przenajświętszej Rzeczypospolitej – ruina z wydatnymi kafelkami, smierdząca moczem.

Aby krytykę uczynić konstruktywną, zaapeluję – Panie Prezydencie, jeżeli naprawdę chce Pan sprawić prezent Ślązakom, proszę do Bytomia przywieźć inwestora, który postawi tutaj fabrykę i zatrudni 10 tysięcy osób. Może wtedy ludzie nie będą skandowali za Pańską odjeżdżającą limuzyną „Komorowski do roboty”.

Opinia

Święte, bo polskie

Brońmy świętości i polskości niedzieli – zakrzyknął gromko w dniu święta Bożego Ciała arcybiskup Głódź. Ten sam, który ostatnio gości w mediach częściej niż by chciał i w nieprzyjemnym dla siebie kontekście.

Akceptuję, że dla katolików jeden dzień w tygodniu jest wyjątkowy, rozumiem wiarę w to, że siódmego dnia Pan odpoczywał, szanuję to, że ktoś chce dzień dla niego święty święcić. Jednak bez pozaziemskiej pomocy nijak chyba nie pojmę, na czym polega wyjątkowa „polskość niedzieli”. Podejrzewam, że mamy tu do czynienia z kolejnym majstersztykiem prawskim. Czy aby nie chodzi o to, byśmy od razu kojarzyli, że „co polskie, to święte”, zatem „co święte, to polskie”, a „polskie jest tylko, co takie samo jak moje”. I, per analogia, jeśli coś nie jest wystarczająco polskie, to świętym być nie może, a najczęściej jest grzeszne, więc biada Wam, nie-Polacy! I w ten sposób „święta, bo polska” jest niedziela, a grzeszna jest śląska tożsamość.

Postulat państwowego nakazu zamknięcia sklepów w niedziele, bo o to szło

Kopertyki na kłopsztandze

Nieszczęścia chodzą parami...



Kazimierz Martyn

Nie rozpieszczą nas w tym roku na Śląsku czerwona pogoda – na początku miesiąca zlały nas deszcze, pobił gdzieś grad duży jak piłeczki pingpongowe, koniec miesiąca okazał się jednak gorący.

Nie mam na myśli prognozy pogody, nie. Czekają nas gorące spory programowe dwóch partii – PO i PiS. Szeffowie obu tych ugrupowań (co za zbieżność decyzji) postanowili tego samego dnia, w sobotę dwudziestego dziewiątego czerwca, zorganizować na Śląsku i w Zagłębiu swoje zjazdy. Platforma Obywatelska będzie w Chorzowie zastanawiać się, jak wybierać przewodniczącego, PiS natomiast radzić będzie, jak po wielu latach znowu odzyskać władzę w Polsce. Słowem – jak już napisałem w tytule swojego felietonu – dwa nieszczęścia jednocześnie spadną na nasze województwo. Skoro już jednak ten dopust Boży został zapowiedziany wcześniej, pozwolę sobie podpowiedzieć Szanownym Czytelnikom parę pytań do naszej „władzy”. Proponuję zapytać premiera: „Co myśli o ostatnich dotkliwych porażkach w różnego typu lokalnych wyborach?” albo „Jak komentuje list otwarty Jarosława Gowina – jednego z najlepiej poinformowanych polskich polityków i byłego ministra sprawiedliwości, który napisał, że: „coraz częściej działania samorządowców Platformy i aparatu partyjnego w regionach zaczyna cechować buta, partyjniactwo i budzące wątpliwość korzystanie z przywilejów władzy”? Kolejne: „Jak odbie-

ra pan Premier informacje angielskiego MSZ, że język polski jest drugim językiem używanym przez osiedlających się na stałe cudzoziemców w Wielkiej Brytanii?” I na koniec pytanie dotyczące naszych śląskich spraw: „Jakie to dokonania rządzących na Śląsku funkcjonariuszy PO sprawiły, że zaszczylicie nas swoją zjazdową obecnością?”.

Gdy człowiek zacznie się zastanawiać nad tym, jakie to pytania zadawać naszej „władzy”, okazuje się, że jest ich tysiące i cała nasza „Jaskółka Śląska” nie pomieściłaby ich do końca roku. Co więcej, te same pytania można zadać również Jarosławowi Kaczyńskiemu – przecież jego partyni poddani rządzą już dzisiaj w wielu rejonach Śląska i Polski. Wiemy też, że sam pan przewodniczący, uradowany wzrastającym poparciem w ostatnio przeprowadzonych sondażach, przygotowuje się do objęcia rządów krajem. Do niego mam – i pewnie Państwo także – zasadnicze pytania: „Jaki ma pomysł na rządzenie Polską i Śląskiem?”, „Czy Ślązacy są dla niego jedynie zakamuflowaną opcją niemiecką i czy uznaje ich prawo do samorządności?”.

Podejrzewam jednak, że panowie Tusk i Kaczyński przybędą ze swoimi dworami do nas na nasze podwórko, niczym dziewiętnastowieczni misjonarze i zdobywcy przywożący „dzikim plemionom” paciorki i bele perkalu.

Przyjadą, wywiną parę kopertyk na naszej śląskiej kłopsztandzie i zagłębiowski trzepaku, a potem pojadą.

O samorządność i autonomię będziemy musieli walczyć sami. Jak bardzo są tutaj potrzebne, uświadamia nam każdy dzień przeżyty na Śląsku.

pytania brzmi: czy koszty, jakie poniesie państwo (choćby strata potencjalnego przychodu z podatków) będą warte poniesienia, biorąc pod uwagę liczbę korzystających z tej ustawy. I tu znów wracamy na nasze śląskie podwórko: skoro państwo polskie może uchwalić ustawę specjalnie dla grupy pracowników hipermarketów, to dlaczego nie może uczynić ukłonu w kierunku kilkuset tysięcy śląskiej mniejszości etnicznej (zdaniem niektórych: narodowej) i umożliwić wprowadzenie rozwiązań ratujących ginącą śląską tożsamość?

Dodatkowo, słuchając kościelnych i PiSowskich hierarchów, odnoszę nieodparte wrażenie, że to dopiero początek, że najpierw nakazą zamykać hipermarkety, potem wszystkie sklepy, a głębooko w nich już kielkuje plan ustawowego nakazu uczestniczenia we mszy świętej i wywieszania w niedziele, w ten najbardziej polski z polskich dni, biało-czerwonej flagi. Byśmy wszyscy byli święci i polscy, czyli tacy sami jak oni. Oby rok 1984 Orwella nie zmaterializował się trzydzieści lat później...

Adam Papierniok



Śląska powieść w odcinkach

Śląska Saga część 7



Marian Kulik

grafu w najbliższy poniedziałek rano o godzinie siódmej.

Helmut – jeszcze dziecko – podchodził do swego nowego etapu życiowego z niezwykłą powagą i zaangażowaniem, które nawet u jego rodziców – Szymona i Ulki – znających najlepiej jego nadmierną akuracność, budziło pewne zdziwienie. Parę dni przed jego służbą Ulka siedząc z Emką na kolanach zagadnęła do Szymona: „**Na kogo się ty synek podół, ón mo dopiyo czernoście lot, a godo i stawio się choby już bół jakiyim auzyjerem**”. Szymon uśmiechając się odparł: „**A jak bydzie miół tela lot co my, to nom bydzie kozół siedzić na jegłach i jeszcze skuli tego się chichrać**”. Do Ulki takie słowa były za ostre i szorstko Szymona replikowała: „**Tera to już fanzolisz gupieloku jedyn. Jeszcze wto usłyszysz i pomysli, że Helmut to jakiś chachor**”.

W rzeczony poniedziałek Helmut już o czwartej rano był na nogach, a w majątku zjawiał się co najmniej pół godziny przed czasem i nie wszedł do środka, tylko przechadzał się pod bramą tam i z powrotem, a dopiero w wyznaczonym czasie z dokładnością co do minuty meldował się u urzędnika, z którym się najpierw witał, a następnie brał jego torbę i wspólnie wyruszyli do kolejnych majątków na inspekcję, żeby mieć przekonujący obraz danych przed wpisaniem ich do ksiąg rachunkowych. Helmut nie mógł wiedzieć, że jego codzienne przedwcześnie zjawianie się pod bramą było od pierwszego dnia odnotowane przez grafa, który stojąc w oknie obserwował Helmuta za każdym razem zerkając na zegarek i z aprobującym

Graf, jak przystało na oficera, dotrzymał słowa danego Szymonowi w sprawie jego syna i po paru dniach od rozmowy zjawiał się posłaniec z wiadomością, że Helmut jest oczekiwany w majątku



Zdjęcie: biblioteczniopokski.blogspot.com

W podobnej bibliotece mógł przyjmować Helmuta jego mecenas. Biblioteka książek pszczyńskich.

uśmiechem mruczał do siebie: „**No, no. Z tego to jeszcze wyrośnie nie byle kto, yno musi mieć mondrego rektora**”.

Po trzech miesiącach Helmutowego terminowania, graf zapytał urzędnika, co sądzi o swoim uczniu. Księgów najpierw poprawił swoje binokle, które nosił tylko dlatego, żeby sobie dodać powagi, a następnie głosem drętym i pozornie bez emocji zakomunikował: „**Jak mu się w głowie nic nie poprzestawia, to widzę w nim materiał na modelowego zarządcę, który będzie w stanie z każdego majątku wycisnąć zysk**”.

Na miesiąc przed końcem swego stażu Helmut otrzymał polecenie stawienia się u grafa, który nie bawiąc się w zbędne konwenanse zapytał: „**Dalej chcesz iść do szkół?**” Helmut krótko zameldował: „**Tak jest!**” Graf bez słowa napełnił koniakiem dwa małe jak narparktki kieliszki i jeden podał Helmutowi

wi mówiąc: „**Już ci opłaciłem czesne w gimnazjum i stancję u porządnych ludzi**.” Gdy wypili graf się znów odezwał: „**Co pół roku będziesz mi pokazywał swoje szkolne noty. Za złe wyniki przestana być twoim filantropem, a za dobre otrzymasz dodatkowo po złotej marce**.”

Po wyjściu od grafa Helmut poczuł jak wypity koniak zaczyna się rozlewać po całym ciele przyjemnym ciepłem i dopiero wtedy przypomniał sobie, że na odchodnym graf wręczył mu małe papierowe zawiniątko, które teraz rozwinął i zobaczył dwie polyskujące złotem monety. Pakując je z powrotem do kieszeni głośno pomyślał: „**Kupia się za nie paradno lyjder tasza na książki i chewty, a reszta óstawia w szparkasie na cylinder, ancug i westa w piski**.”

Gdy już znalazł się na drodze, z której widział swoją chałupę, z pobliskiego zagajnika wyjechało dwoje jeźdźców,

którymi były dwie młode kobiety. Jedną z nich była grafowa pasierbica, której koń wyraźnie kulał, co nie uszło uwagi Helmuta. Chłopak zakrzyknął do niej: „**Twój koń stracił podkowa i kuleje na przednio prawo noga**”. Po chwili już obie stały obok kulawego wierzchowca, dokładnie przyglądając się jego nogom, ale poza brakującą podkową nic się nie stało, więc można było spokojnie dociągnąć do majątku. Uwaga Helmuta była niezmiernie ważna, więc chciały mu jakoś podziękować, ale pozostał po nim już tylko tuman kurzu na pylnej drodze. Wtedy jedna z dziewcząt patrząc za Helmutem powiedziała: „**Kiejby nie te wosy sterczonce jak sztachety we płocie, to mógby być z niygo fajny synek**.”

Lato minęło szybko, a wraz z jesienią przyszedł czas na wyjazd Helmuta na nauki do Bytomia. Szymon z Ulką długo stali i obserwowali, jak Helmut masze-

rując na pociąg, znika powoli w promieniach wschodzącego słońca. Po jego odejściu syna oklapli i przez jakiś czas w chałupie panowała pogrzebowa atmosfera, ale nie byli sami. Karlik i Emka, która teraz stała się lilingem Szymona, szybko razem z bratem wypełniła pustkę po pierworodnym.

W przeciwieństwie do Helmuta, Karlik był jego zaprzeczeniem – z marzyielskim wzrokiem, o długich, falistych i ciemnych włosach, nieco ospałych ruchach. Punktualność była dla niego abstrakcją i te pogłębiające się zainteresowania morzem i wszystkim, co po nim pływa. W szkole nie przejawiał jakis większych zainteresowań nauką, poza oczywiście lekcjami, gdzie była mowa o marynistyce, ale za to jego ręce same tworzyły. Cokolwiek by nie wziął do ręki, wszystko potrafił zrobić, że nawet Szymona zaskakiwał. Ten z zadowoleniem obserwował jak z kawałka drewna syn „wyczarował” za pomocą noża zgrabny model okrętu.

Gdy Karlikowi minęło czternaście lat, zaczął prenumerować czasopisma marynistyczne. Szymon z żoną tylko z zażenowaniem kiwali głowami na synowskie fanaberie i czujnie wyczekiwali, co to się urodzi z jego zainteresowań wielką wodą, ale tak właściwie to byli przekonani, że z tych młodzieńczych fantazji mało co zostanie, kiedy obarczy się chłopca robotą i obowiązkami dnia codziennego. Karlik w przeciwieństwie do swego starszego brata po skończeniu szkoły pozostał w domu i razem z ojcem pracował w gospodarstwie, co wbrew oczekiwaniom rodziców nie schłodziło jego zainteresowań morzem.

Któregoś jesiennego wieczoru, kiedy Karlik przy oil lampie przeglądał jakieś morskie czasopismo, niespodziewanie podszedł do niego Szymon, przez chwilę udając, że coś czyta, zniemacka powiedział: „**My z matką uradzili, co ty przejmiesz cało gospodarka**.” Po tym stwierdzeniu Karlik zastygł na jakąś chwilę, a potem nie odrywając wzroku od gazety powiedział: „**Kiej żeście tak uradzili, to niech tak bydzie**.”

> cdn.

Gödka na wesolo

„Ślōnski suchar na dzisiej” a prōmowanie ślōnskiej gödki



Kōzali nōm napisac cosik ô „Ślōnskim sucharze na dzisiej” i ô tym, jak widzimy prōmowanie ślōnskiej gödki. Dobra, to nōjprzōd Adrian napisze, co to je tyn nasz Suchar, a niyskorzij Grzegorz napisze ô prōmowaniu gödki.



Adrian Górecki

Adrian Górecki: „Ślōnski suchar na dzisiej” je nōjwinykszym ślōnskim fanpejdżym na Facebooku. Zlōnaczońy ód nōs we październiku óńskiego roku mó już 73 tysiońce fanōw

i je ich wiyncyj z kōzdydm dnym. Suchar to inakszyj niysmiyszny wic, ale u nōs idzie tyż znōlyzc wice, kere sōm śmiyszne, roztońmajte óbrōzki, memy i grafiki. Ino je jedyn warunek – wszystko mōmy po ślōnsku. Ód grudnia działo tyż portal klopsztanga.eu, kaj ludzie mōgōm wciepować swoje óbrōzki. Sōm my piyrszym takim fanpejdżym na facebooku, kaj

piszemy ino po naszymy i ludzie tyż mōgōm pisac we ślōnskiej gödce. Coikō historyjō mó swōj poczońtek na trefie ô retowaniu ślōnskiej gödki, kery był w Rudzie Ślōnskiej rok do zadku. Tam trefili sie adminy „Suchara”. We październiku w czasie gödki na facebooku Grzesiek wyszoł ze idyjōm narychtowanio ślōnskiego fanpejdża ze śmiysznyimi óbrōzkami. Takich strōn w polskim Internecie bōło moc (pisanych we polskij abo angelskiej gödce), ale po ślōnsku niy było ani jedny. Wielość fanōw po sztarcie gibko rosła, a niykere memy sōm dzisiej kultowymi w internecie (niy ino na Ślōnsku). Kōzdy, fto aby trochã siedzi w necu znō óbrōzki „Zōdyn” abo „Wylyż”. Ślōnsko gödka stała się dzinyki temu modnō – teksty ze „Suchara” idzie usłyszec w szkołach i na placach. Ludzie dostōwajōm ód nōs coś, co mieli na codziñ po polsku abo angelsku. To dowōd na to, co po ślōnsku idzie gödać niy ino ô Ślōnsku, ale ô kōzdyj inkszyj rzeczy. I ślōnski humor niy musi być ino ô Antku i Francku abo miec forma mōnologōw z kupōm ausdrukōw.

Ślōnski humor może być tyż do modych ludzi, kerzi lachajōm już z inkszych rzeczy niż ód nich ójce i starziki. Fajne je tyż to, co ludzie piszōm u nōs po ślōnsku i chcōm ónaczyć te óbrōzki po naszymy. Niykerzi niy poradzōm gödać po porzōnku, ale prōbujōm, co się chwōli.



Grzegorz Kulik

Grzegorz Kulik: A jak prōmować ślōnsko gödkã? Po-wiymy Wōm, jak jã prōmować postrzōd modych. Pewnikym szlagrami, fraszkami, krōtkimi ózprōwkami ô bajtach we klasie abo

blogowanym ô tym i tamnym gödki niy wypromujemy. To je take zawiyraniy gödki we skansynie, bo kōzdy rok ludzie, co radzi posuchajōm szlagrōw abo poczytajōm ô tym jak to Chimek gödoł rektōrowi we szkole, co chce być fojermōnym, sōm starsi.

Jakō je óferta do modych? Co gödka moge dać modym we XXI

stoleciu? Mōmy take czasy, iże we jedyn dziyñ do nōs dolazi wiyncyj informacyjōw aniżeli 50 lōt do zadku w miesiońce. Beztōż modzi niy czytajōm dugich rzeczy. Trza im podać tã gödkã we frazach krōtkich i nōjlepiej śmiysznych. I tak taki synek abo dzioucha, co dziynnie dostanie 3-4 suchary u nōs, za rok może znac sto ślōnskich słōw wiyncyj. Taki knif uczynio my wymyslyli.

Ale gödka musi tyż we modernym świecie być we wercie użytkowyj. No take mōmy czasy, że jak jake mydium kōmunikacyje je mynij użytkowe aniżeli inksze, to sie traci. Skuli tego, co modzi dzisiej nōjwiyncyj siedzōm przy kōmputrze i przy Facebooku, muszōm miec te nōczynia po ślōnsku. Bo co z tego, że oni by mieli, bez tyn przikłōd, dwa razy w tydniu we szkole lekcye ślōnskiej gödki, jak przidōm do dōm i wszyjsko we kōmputrze bydzie po polsku? Po piyrsze niy bydōm widzieć synsu, po druge gödka niy bydzie im do gowy wlazić, a po trzecie bydōm gödać co rōz to gorzij.

Beztōż podwiela bydymy uczyc modych gödki we szkole, nōjprzōd muszemy im zlōnaczyć postrzōdowisko (to je neologizmus zlōnaczońy przy pisaniu tego artikla), coby w nim siedzieli i sie óbrōcali. Inakszyj nic z tego niy bydzie.

No i tak tyż trza modym tã gödkã podōwać. Niy na siylã, niy na lekcjach. To musi być atrakcyjne i użyteczne mydium modernyj kōmunikacyje, kere bydzie we srogij wercie użytkowyj. Wtynczōs z autōmatu przidzie wiyncyj ludzi, co bydōm gödać po ślōnsku, uczyc sie gödać po ślōnsku i bydzie tyż zainteresowanij sztukōm wyższōm po ślōnsku.

Tego winszujemy nōm wszyjskim.



Jedyn ze ślōnskich sucharow.



Sklep śląski SILESIA PROGRESS

oferuje największy wybór artykułów związanych ze Śląskiem:

- flagi
- koszulki, bluzy i czapki
- filmy i książki
- naszywki, naklejki i smycze
- mapy, plany i pocztówki

Nie zwlekaj! Kup już teraz to, co chciałeś mieć od dawna i pokaż światu, jak jesteś dumny ze swojej śląskości.

Nasz sklep internetowy:

www.silesiaprogress.com

Tel. 693 953 661

Organizujesz festyn? Dni miasta?
Zaproś nasze stoisko!



Śląskie flagi

nowe rozmiary
150 x 90 cm lub 110 x 70 cm
mocowanie na "oczka" lub
do wciągania na "szyty"

"Listy z Rzymu"

Zbigniew Kadłubek
- pierwsza książka w ramach
CANON SILESIAE
Stowarzyszenia Osób
Narodowości Śląskiej

HITY MIESIĄCA

Wiele nowych książek



Śląskie smycze



Naklejki samochodowe



Duży wybór koszulek po przystępnych cenach (ceny od 25 do 40 złotych)



Zapraszamy też do naszej siedziby w Opolu, ul. Reymonta 30 (III piętro, lok. 10)

VII Marsz Autonomii



13 lipca 2013 r.

Katowice, plac Wolności

Wymarsz godz. 12:00

Musisz być z nami!